

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor.—4 Mrk. 25 fen.—1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. —8 Mrk. 50 fen. 3 Rbs. 60 kop. z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop. z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop. **W Ameryce: półrocznie 2 dolary 25 cts.— Rocznie 4 dol. 50 cts.**



Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW, Zacisze 7. Tel. 479.

Redaktor naczelny: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.

Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VII. **Kraków, 4 czerwca 1910.** **Nr. 23.**

Straszna przepowiednia.

(Treść na str. 2).

Nr. 23. „Nowości illustrowanych" zawiera: Zasądzenie mordercy. — Zgon literata-dramaturga. — Pogrzeb znakomitej powieściopisarki. (Szereg zdjęć z pogrzebu śp. Orzeszkowej). **— Jubileusz znanego lekarza. — Zwyczaje ludowe w Galicyi. — Wzlot balonu we Lwowie. — Najwyższy most w Galicyi. — Uroczystość strzelecka we Lwowie. — Polacy na obczyźnie. — Nowy skandal we Francyi. — Cesarz w anektowanych prowincyach. — Zgon znakomitego bakteryologa. — Macierz szkolna na Śląsku. — Królewiacy w Pradze.**

Uroczystości polskie w Ameryce.



Zgon literata-dramaturga: Ś. p. Maryan Gawalewicz.

Straszna przepowiednia.

(Do illustracyi tytułowej).

Sensacyjna zbrodnia, której ofiarą padł w Warszawie 17-letni Stanisław Chrzanowski, nie schodzi ze szpalt dzienników polskich, przedewszystkiem ze względu na osobę podejrzanego o jej spełnienie hr. Ronikiera. Jest to objaw zupełnie zrozumiały, hr. Ronikier bowiem należał do postaci w Warszawie ogólnie znanych, wiadomość więc o aresztowaniu go pod tak strasznym, tak ciężkim zarzutem musiała wywołać wszędzie olbrzymie wrażenie.

Szczegóły śledztwa, jakie policya warszawska z ogromną energią podjęła w celu wyśledzenia zbrodniarza, są w części znane, a szczegóły te przeważnie obciążają hr. Ronikiera. Dziś też opinia publiczna prawie że niema wątpliwości co do udziału hr. Ronikiera w potwornym mordzie.

Równocześnie zaś powstają wśród publiczności warszawskiej coraz nowe wieści, mniej lub więcej prawdopodobne, mniej lub więcej fantastyczne, odnoszące się do hr. Ronikiera i jego stosunku do rodzinny pp. Chrzanowskich.

Ostatnia z tego rodzaju pogłosek jest bodaj że najbardziej fantastyczna. Opowiadają mianowicie, że przed paru laty, w głośnej swego czasu restauracyi warszawskiej Stępkowskiego, zebrało się grono młodych ludzi, między tymi kilku przedstawicieli sfer artystycznych. Był tam także artysta-malarz Pawiszak, ten sam, którego tragiczna śmierć w parę lat potem wywarła tak wielkie wrażenie. S. p. Pawliszak był chiromantą. Jeden więc z uczestników zebrania zwrócił się do niego z prośbą, by mu z dłoni odczytał przyszłość. S. p. Pawliszak, aczkolwiek niechętnie, uczynił zadość życzeniu młodego człowieka i począł mu wróżyć.

Przepowiednia była fatalna. Ś. p. Pawliszak odczytał z dłoni młodego człowieka, iż linia jego życia przerywa się gwałtownie w 35 roku życia, że nadto ma na ręku piętno zwyrodnień, oraz znamiona, świadczące o zbrodniczych popędach.

Było to już dawno i owa przepowiednia poszła w niepamięć. Dopiero teraz, gdy hr. Ronikiera aresztowano pod zarzutem zbrodni morderstwa, uczestnicy owego zebrania przypomnieli sobie, że owym młodym człowiekiem, któremu ś. p. Pawliszak tak smutną, tak fatalną wywróżył przyszłość, był właśnie Bogdan Ronikier.

Przypomnienie tej chwili zawiera nasza dzisiejsza illustracya tytułowa.

Smierć literata-dramaturga.

Teatr polski, polska sztuka dramatyczna i polska literatura ciężką i niepowetowaną poniosły stratę. Zmarł bowiem w ubiegłym tygodniu we Lwowie Maryan Gawalewicz, od roku kierownik artystyczny dramatu w miejskim teatrze lwowskim, znakomity i ceniony znawca teatru, wybitny pisarz, autor i krytyk.

Któż nie znał w Polsce Gawalewicza, któż nie czytał jego udatnych, sympatycznych nowel i powieści? Od szeregu lat należał do najpopularniejszych, najchętniej czytywanych autorów polskich. Urodzony we Lwowie 1852 r., ukończył tam szkoły średnie, poczem przybył do Krakowa, gdzie kształcił się w instytucie technicznym i na uniwersytecie, próbując już wówczas swych sił na polu literackiem.

Żywą i ogromnie płodną działalność pisarską rozwinął w Warszawie, dokąd się przeniósł w 1876 r., a utwory swe: fejletony, kroniki, pogadanki, sprawozdania, poezye, komedyjki, nowele, powieści zamieszczał w rozmaitych pismach, bądź codziennych bądź tygodniowych.



Zgon literata-dramaturga: Ś. p. Maryan Gawalewicz na marach.



Fot. M. Münz, Lwów.

Uroczystość strzelecka we Lwowie: Grono członków towarzystwa strzeleckiego wraz z nowym królem kurkowym, architektem Kamienobrodzkim (X) i dwoma marszałkami.

Wszystkie utwory Gawalewicza, nawet z najmłodszych pochodzące lat, odznaczały się zawsze zajmującą treścią i doskonałą, gładką, potoczystą formą, w której władaniu był prawdziwym mistrzem.

Z powieści jego, których szereg jest bardzo duży, do najlepszych i najwięcej znanych należą: „Gasnąca dusza", „Filistry", „Drugie pokolenie", „Mechesy", „Cudak", „Mgła", „Ćma", „Dusze w odlocie", wreszcie „Szubrawcy", „Warszawa". Sporą biblioteczkę stanowią też jego utwory sceniczne, z których przeważną część grywano z powodzeniem na scenach polskich.

Bardzo duże są wreszcie zasługi śp. Gawalewicza na polu praktycznej działalności w teatrze, który był jego żywiołem, jego ukochaniem i najmilszym terenem pracy. Rozpoczął tę pracę w teatrach amatorskich w Warszawie, dążąc do podniesienia ich poziomu, do zreformowania repertuaru i należytego wystawiania sztuk. Przez krótki czas był następnie śp. Gawalewicz reżyserem teatru ludowego na Grzybowie, potem zaś objął dyrekcyę teatru w Łodzi a potem Teatru Małego w Warszawie. Pod jego kierunkiem zajął Teatr Mały jedno z pierwszych miejsc wśród scen polskich, zarówno ze względu na znakomity dobór sztuk, jak ze względu na ich nadzwyczaj staranne przygotowanie i wystawianie. Był to naprawdę wzorowy teatr, tem dziwniejsze też, że powodzenie kasowe nie odpowiadało wcale powodzeniu moralnemu. Mimo to śp. Gawalewicz nie zrażał się ani do publiczności ani do teatru i swych idei, przeciwnie, kochał je coraz bardziej i pracował dla nich z prawdziwą namiętnością.

Ostatniem stanowiskiem śp. Gawalewicza było artystyczne kierownictwo dramatu w teatrze miejskim we Lwowie; do pracy w swem rodzinnem mieście zabrał się z całym młodzieńczym zapałem, chcąc wraz z dyr. Hellerem teatr lwowski wznieść na jeszcze wyższy poziom. Już pierwsze jego usiłowania uwieńczyły wyniki bardzo piękne, co krytyka — nawet uprzedzona do teatru lwowskiego — zgodnie musiała podnieść, niestety dalszej pracy jego stanęła na przeszkodzie ciężka choroba a następnie śmierć.

Wiadomość o zgonie Gawalewicza wywarła wszędzie przygnębiające wrażenie, gdyż był to człowiek wielkich zalet serca i umysłu, nadzwyczaj towarzyski i powszechnie lubiany. Społeczeństwo straciło w nim jednego z najczynniejszych i najruchliwszych pisarzów. Ożywiony zawsze najlepszemi chęciami, niezmordowany w pracy na rozległych, różnorodnych polach, przejmował się do żywego wszystkiem, co fala życia wynosiła na powierzchnię. Znojną, ofiarną pracą swą, pracą całego życia zasłużył sobie na wdzięczną pamięć i zaszczytne stanowisko w literaturze i w teatrze polskim.

Pogrzeb śp. Gawalewicza odbył się w ubiegłą sobotę przy udziale tysięcy publiczności a przedewszystkiem grona tych, którzy teatrem i literaturą się zajmują. Nie brakło też przedstawicieli najwyższych władz, z namiestnikiem dr. Bobrzyńskim i marszałkiem hr. Badenim na czele, dalej przedstawicieli wszelkich koporacyi naukowych i literackich, rady miejskiej, stowarzyszeń i t. d. Teatr krakowski reprezentowali na pogrzebie dyr. Solski i p. Siedlecki, prasę krakowską redaktor Konopiński. Zwłoki śp. Gawalewicza spoczęły na cmentarzu łyczakowskim.



Zasądzenie mordercy: Porucznik Adolf Hofrichter.

Uroczystość strzelecka we Lwowie.

W święto Bożego Ciała odbyła się we Lwowie doroczna uroczystość towarzystwa strzeleckiego, mianowicie intronizacya nowego króla kurkowego, którym na rok bieżący obrany został architekt A. Kamienobrodzki.

Rano dnia tego zebrali się członkowie towarzystwa strzeleckiego w katedrze, aby uczestniczyć w nabożeństwie i procesyi, poczem udali się do ratusza a stamtąd powozami do mieszkania nowego króla. Stamtąd ruszono, już razem z królem, wprost na Strzelnicę, gdzie przy bramie powitała świetny orszak kapela „Czwartaków". Przy dźwiękach kapeli weszła brać strzelecka do głównej sali i ustawiła się wokół wielkiego stołu pod portretem króla Zygmunta Augusta. Po odczytaniu przez sekretarza towarz. oryginalnego przywileju króla Zygmunta, przemówił do nowego króla kurkowego mistrz ceremonii p. Pepłowski, składając mu imieniem towarzystwa serdeczne życzenia. Równocześnie wręczył mu insygnia godności królewskiej oraz wspaniałego złotego kura, dar królów polskich. Następnie otrzymali swe insygnia dwaj nowi marszałkowie.

Po tej ceremonii opuścili uczestnicy salę i przeszli w tradycyjnym pochodzie wokół granic toru strzeleckiego.

Wieczór dnia tego odbyła się w wielkiej sali pałacu wspaniała uczta królewska, w czasie której wygłoszono szereg podniosłych mów i toastów. Udział wzięli w uczcie prócz członków Strzelnicy i prezydyum miasta, także wybitni obywatele lwowscy.

Zasądzenie mordercy.

W ubiegłym tygodniu toczyła się przez kilka dni w wiedeńskim sądzie garnizonowym rozprawa przeciw porucznikowi Adolfowi Hofrichterowi, oskarżonemu o zbrodnię dokonanego morderstwa na kapitanie sztabu generalnego Maderze a usiłowanej zbrodni morderstwa na kilku innych oficerach. Proces ten był epilogiem znanej, sensacyjnej sprawy z jesieni ubiegłego roku, kiedy to kilku oficerów z austryackiego sztabu generalnego otrzymało pigułki zatrute. Śledztwo, prowadzone przez władze wojskowe i cywilne, skierowało podejrzenie o popełnienie strasznej zbrodni na porucznika Hofrichtera, którego też aresztowano. Przed kilku tygodniami porucznik Hofrichter przyznał się do czynu, wobec czego wynik naznaczonej na drugą połowę maja rozprawy nie mógł być wątpliwy.

W skład sądu, który rozpatrywał winę porucznika Hofrichtera, weszli zgodnie z przepisami wojskowej procedury karnej: audytor Kunz, który prowadził śledztwo i który był referentem, podpułkownik D. Vidulovicz, jako przewodniczący, nadto dwaj kapitanowie, dwaj porucznicy i jeden podporucznik.

O przebiegu rozprawy, jako ściśle tajnej, nic bliższego nie wiadomo, a dzienniki, które w ciągu rozprawy podawały dość obszerne sprawozdania o treści zeznań Hofrichtera i jego zachowaniu się przed sądem, opierały się chyba tylko na pogłoskach, pewnego bowiem nic nikt, prócz członków sądu, nie wie.

Pewną jest tylko rzeczą, że wyrok został już wydany, a wynika to stąd, iż posiedzenia sądu zakończyły się w sobotę w południe. Treść wyroku jest również dotąd nieznana, wnosić jednak należy na podstawie przepisów kodeksu karnego wojskowego, że Hofrichtera uznano winnym zbrodni dokonanego i usiłowanego morderstwa i że zasądzono go na karę śmierci przez powieszenie.

Czy wyrok ten zostanie wykonany, czy też może komendant korpusu zechce go ułaskawić i zamienić



Polacy na obczyźnie: Grupa byłych i obecnych członków akademickiego Koła „Sarmatia" w Fryburgu Saskim.



Jubileusz straży pożarnej w Jordanowie: Odznaczeni za 35-letnią służbę strażacy.

karę śmierci na dożywotnie lub 20-letnie więzienie, jest także rzeczą zupełnie niewiadomą. Nie wiadomo nawet, czy członkowie sądu wniosek o ułaskawienie komendantowi korpusu przedstawili.



Zasądzenie mordercy: Gmach sądu wojskowego w Wiedniu, gdzie toczyła się rozprawa przeciw Hofrichterowi.

Sprawa ta rozstrzygnie się z pewnością w ciągu kilku najbliższych dni i wówczas wyrok sądu wojskowego zostanie opublikowany.

Wzlot balonu we Lwowie.

Lwów doczekał się znowu niemałej sensacyi z zakresu sportu aeronautycznego. Oto w ubiegłą niedzielę odbył się tam staraniem klubu „Awiata“ wzlot wolnego balonu kulistego wraz z trzema pasażerami, inżynierami E. Libańskim i K. Richtmanem oraz porucznikiem Harnischem.

Wzlot naznaczono na godzinę 9 rano, a już na godzinę przedtem plac powystawowy, skąd balon miał się wznieść w górę, zapełnił się publicznością, żądną sensacyjnego widowiska.

Balon „Awiata“ pochodzi z fabryki w Vimpassing. Ma on pojemności 1.300 m^3, ciężar zaś, jaki może udźwignąć, wynosi 650 kg. Napełnienie balonu gazem, wytworzonym w tym celu przez gazownię miejską, odbyło się w nocy, to też rano był kulisty olbrzym gotowy zupełnie do lotu. Na uwięzi trzymał go sznurami oddział żołnierzy.

Tymczasem wokół gondoli i dzielnych pasażerów gromadził się coraz liczniejszy zastęp publiczności, wśród której byli także: namiestnik dr. Bobrzyński, prezydent miasta Ciuchciński, przedstawiciele wojskowości, grono radnych miasta, dziennikarzy i t. d.

Wreszcie wydano wśród ogólnego napięcia ciekawości rozkaz połączenia gondoli z balonem, a gdy to nastąpiło, padł ostatni rozkaz z ust kapitana oddziału aeronautycznego: „puszczać“ i olbrzymi balon wzniósł się powoli, majestatycznie ku górze. Za chwilę zniknął z oczu tysięcy publiczności, kryjąc się daleko i wysoko wśród chmur.

Wzlot udał się dzielnym aeronautom najzupełniej szczęśliwie. Wznieśli się odrazu na wysokość przeszło 2000 m. i gnani wiatrem wschodnim a następnie północno-wschodnim znaleźli się po niespełna dwugodzinnej podróży za Złoczowem. Bojąc się, by wiatr nie zapędził ich za granice Galicyi, do Rosyi, gdzie zjawienie się balonu obcego mogło wywołać niepożądane następstwa, wylądowali we wsi Łuce, położonej w odległości 10 klm. za Złoczowem. Tam przy pomocy patrolu ułanów złoczowskich i wieśniaków miejscowych zapakowali swój statek i nadali na najbliższej stacyi na kolej, a równocześnie sami wrócili do Lwowa pociągiem.



Nowy skandal we Francyi: Joanna Forestier, zwana siostrą Candidą.



Fot. J. Sebald, Kraków.

Uroczystości polskie w Ameryce: Dr. Adam Doboszyński, przedstawiciel miasta Krakowa na uroczystościach w Ameryce.



Uroczystości polskie w Ameryce: Odsłonięcie pomnika Pułaskiego w Waszyngtonie.

Maurice Leblanc.

TAJEMNICZE DOKUMENTY.

4 (Ciąg dalszy).

Raz po raz przybiegał, przysyłany przez Gourela ktoryś z garsonów, którzy towarzyszyli poszukiwaniom inspektora.

— Jest co nowego? — zapytywał pan Lenormand.

— Nic, proszę pana. Nie znajduję nic nowego.

Po dwa razy dyrektor usiłował wytargować otwarcie drzwi. Położenie stawało się nie do zniesienia. Po biurach niecierpliwili się i skarżyli pasażerowie, mający wyjeżdżać, lub interesanci, wzywani do miasta.

— Nic mnie to nie obchodzi — powtarzał pan Lenormand.

— Ależ ja ich wszystkich znam.

— Tem lepiej dla pana.

— Pan przekracza zakres swoich praw.

— Wiem o tem.

— Nie przyznają panu słuszności.

— O tem jestem przekonany.

— Sam pan sędzia śledczy...

— Niech mi pan Formerie da święty spokój. Najlepiej niech bada służbę, co zresztą robi w tej chwili. Reszta nie należy do śledztwa. Reszta należy do policyi. To moja rzecz.

W tej chwili oddział ajentów wtargnął do hotelu. Szef bezpieczeństwa podzielił ich na kilka gromadek, które posłał na trzecie piętro, poczem zwrócił się do komisarza:

— Kochany panie komisarzu, powierzam panu nadzór. Tylko żadnej słabości — zaklinam pana. Biorę na siebie odpowiedzialność za to, co będzie.

I podszedłszy do windy, kazał się wciągnąć na drugie piętro. Robota nie była łatwa. Wymagała czasu, gdyż trzeba było otwierać drzwi od sześćdziesięciu pokoi, przejrzeć wszystkie łazienki, komórki, wszystkie szafy, wszystkie zakątki. I daremną była. W godzinę potem, punkt o dwunastej pan Lenormand właśnie skończył inspekcyę drugiego piętra, ajenci zaś kończyli wyższe piętra, a jeszcze nie zrobiono żadnego odkrycia.

Pan Lenormand zawahał się: czyżby morderca schronił się ku stryszkom? Postanowił jednak zejść, gdy go uprzedzono, że pani Kesselbach ze swoją panną do towarzystwa przybyła. Edwards, stary, zaufany służący wziął na siebie smutną misyę uprzedzenia jej o śmierci pana Kesselbacha.

Pan Lenormand zastał ją w jednym z salonów w stanie ostatecznego zgnębienia; nie płakała, ale twarz jej ściągał skurcz bolesny, a ciałem wstrząsały dreszcze.

Była to dosyć wysoka kobieta, brunetka; bardzo piękne czarne jej oczy miały w sobie odblask złoty. Mąż jej poznał ją w Holandyi, gdzie Dolores przyszła na świat z starej rodziny hiszpańskiego pochodzenia, nazwiskiem Amonti. Zakochał się w niej od pierwszego spojrzenia, a od czterech lat zgodne ich pożycie, oparte na miłości i wzajemnem zaufaniu, nie zaznało cierni.

Pan Lenormand przedstawił się. Spojrzała nań, nie odpowiadając, on zaś umilkł, gdyż zdawało się, że w swem osłupieniu nie rozumie, co do niej mówi. A potem nagle zaczęła gwałtownie płakać i poprosiła, by ją zaprowadzono do męża.

W sieni pan Lenormand natknął się na Gourel'a. Ten szukał go właśnie i śpiesznie pokazał mu kapelusz, który trzymał w ręku.

— Znalazłem to oto... Chyba niema wątpliwości, czyje to jest?

Był to miękki, czarny, filcowy kapelusz, podobny do opisywanego. W środku nie było żadnej cyfry, ani firmy. Był tylko jeden jasny włos, który pan Lenormand zauważył i schował do portfelu.

— Gdzieżeś to znalazł?

— Nad schodami służby, na drugiem piętrze.

— A na innych piętrach nic nie znalazłeś?

— Nic. Przeszukaliśmy wszystkie. Jeszcze tylko pierwsze pozostaje. A kapelusz dowodzi, że ten człowiek zaszedł aż tak daleko. Jesteśmy wprost w gorączce...

— Wierzę bardzo.

Zszedłszy ze schodów pan Lenormand przystanął.

— Idź do komisarza i powtórz mu: po dwóch ludzi ustawić na schodach u wejścia na każde piętro z rewolwerem w ręku. Wolno strzelać, w razie potrzeby. Chciej zrozumieć, Gourel: jeżeli się Chapman nie ocali i jeżeli zbrodniarz ucieknie — wylecę. Od dwóch godzin silnie ryzykuję.

Zaczął wchodzić po schodach. Na pierwszem piętrze spotkał dwóch ajentów, którzy prowadzeni przez urzędnika hotelu, wychodzili z jednego z pokoi. Korytarz był pusty. Personal hotelowy nie śmiał się tam kręcić, a niektórzy z gości pozamykali się w swoich pokojach na dwa spusty, tak że trzeba było długo pukać i meldować, zanim się drzwi otwierały. Nieco dalej pan Lenormand ujrzał drugą grupę ajentów, którzy zwiedzali biura i gospodarcze części, a na końcu długiego korytarza jeszcze innych, którzy zbliżali się do zakrętu, a więc do tych pokoi, które wychodziły na drugą ulicę.

I nagle usłyszał, że ci krzyknęli, i spostrzegł, że biegną. Pośpieszył za nimi.

Ajenci przystanęli na środku korytarza. U nóg ich, w poprzek drogi, twarzą ku ziemi leżało czyjeś ciało.

Pan Lenormand pochylił się i ujął rękoma bezwładną głowę.

— To Chapman... — szepnął. — Nie żyje!

Zbadał go. Jedwabna biała chustka otaczała szyję. Rozwiązał ją. Ukazały się czerwone plamy i pan Lenormand przekonał się, że chustka przytrzymuje na karku gruby tampon z waty, cały krwią przesiąknięty.

I tutaj znowu była to ta sama — mała, cięta, nielitościwie mordercza ranka...

. . . .

Uprzedzeni natychmiast, przybiegli pan Formerie i komisarz.

— Czy nikt nie wyszedł? — zapytał szef.

— Nikt — odpowiedział komisarz. — Po dwóch ludzi stoi na straży u wejścia na każde piętro.

— Może on wrócił na górę? — zauważył pan Formerie.

— Nie!... Nie!...

— Przecież musielibyśmy go spotkać.

— Nie... To wszystko stało się już jakiś czas temu. Ręce już zimne... to morderstwo musiało być spełnione prawie zaraz po tamtem... w chwili, gdy ci dwaj ludzie dostali się tutaj schodami służbowemi.

— Ależ natknitęoby na ciało! Proszę pomyśleć — od dwóch godzin z pięćdziesięciu ludzi przeszło tędy...

— Trupa nie było tutaj.

— Gdzież więc w takim razie był?

— A cóż ja mogę wiedzieć — odpowiedział szorstko szef bezpieczeństwa. — Róbcie to, co ja — szukajcie!... Nie słowami się znajduje.

Chudą dłonią uderzał z pasyą po gałce swojej laski i z oczami, utkwionemi w trupa, stał milczący i zamyślony. Nareszcie przemówił:

— Panie komisarzu, bądź pan łaskaw kazać zanieść tego nieszczęśliwego do którego z próżnych pokoi. Zawezwie się doktora. Panie dyrektorze, zechciej mi pan otworzyć drzwi wszystkich pokoi na tym korytarzu.

Na lewo znajdowały się trzy pokoje i dwa salony, które razem tworzyły apartament, w danej chwili niezajęty, a który pan Lenormand obejrzał. Dwa zamieszkane były przez niejakiego pana Reverdat i Włocha barona Giacomini; tych obu o tej godzinie nie było w domu. W trzecim pokoju zastali starą pannę Angielkę, która jeszcze leżała w łóżku, a w czwartym Anglika, który spokojnie czytał i palił, i którego hałasy na korytarzu nie zdołały od lektury oderwać. Nazywał się major Parbury. Przeszukiwania i dopytywania zresztą nie wydały żadnego rezultatu. Stara panna nie słyszała nic z tego, co mogło poprzedzać krzyk ajentów, ani odgłosów walki, ani jęków konania, ani sprzeczki; również i major Parbury nic nie słyszał.

Także nie natrafiono na żadną dwuznaczną wskazówkę, na żaden ślad krwi, na nic, coby pozwalało przypuszczać, że nieszczęsny Chapman przeszedł przez który z tych pokoi.

— To dziwne... — mruknął sędzia śledczy... — wszystko to jest dziwne zaiste...

— Doprawdy, ja coraz mniej rozumiem... Jest tutaj szereg okoliczności, których powiązać nie umiem. Co pan o tem myśli, panie Lenormand.

Pan Lenormand byłby mu zapewne odpowiedział jednem z tych ostrych słówek, któremi zwykł się objawiać jego humor, gdy nadbiegł Gourel, cały zadyszany.

— Panie szefie... znaleziono to... na dole... w biurze hotelu... na krześle...

Było to zawiniątko niewielkich rozmiarów, zawinięte w czarną satinę.

— Otworzyliście to? — zapytał szef.

— Tak, ale widząc, co zawiera, zwinęliśmy paczkę dokładnie tak, jak była... zwinięta... bardzo ciasno, jak pan sam widzi.

— Rozwiąż!

Gourel zdjął wierzchnie zawinięcie i wydobył spodnie i kurtkę z czarnej, miękkiej wełny, które, sądząc po załamaniach materyału, musiano bardzo pośpiesznie składać.

W środku znajdował się ręcznik, cały krwią splamiony i zamaczany w wodzie, zapewne w celu zatarcia śladu rąk, które weń ocierano.

W serwecie leżał sztylet stalowy z rączką inkrustowaną złotem. I ten był także krwią splamiony — krwią tych trzech ludzi, zamordowanych ręką niewidzialną w przeciągu kilku godzin, wpośród tłumu trzystu osób, krążących po wielkim hotelu.

Edwards służący poznał natychmiast sztylet, własność pana Kesselbacha. Jeszcze dnia poprzedniego, przed napaścią Lupina, Edwards go widział na stole.

— Panie dyrektorze — rzekł szef bezpieczeństwa — wolno wychodzić. Gourel, idź, rozkaż, by już nie broniono wyjścia przy drzwiach.

— To pan przypuszcza, że ten Lupin mógł wyjść? — zapytał pan Formerie.

— Nie. Sprawca potrójnego morderstwa znajduje się w hotelu, w jednym z pokoi, albo może raczej wpośród przejezdnych, którzy są w *hall'u*, lub też w salonach. Według mnie mieszka on w hotelu.

— To niepodobna! A zresztą, gdzieżby on się przebrał? I jakie ubranie miałby teraz na sobie?

— Nie wiem tego, ale twierdzę, że tak jest.

I pozwalasz mu pan ujść swobodnie? Ależ on sobie najspokojniej pójdzie... z rękoma w kieszeni pójdzie...

— Ten z gości, który w ten sposób pójdzie, bez rzeczy i nie powróci — ten będzie winowajcą. Panie dyrektorze, proszę, niech mnie pan zaprowadzi do biura. Chciałbym zbadać z blizka listę pańskich gości.

W biurze pan Lenormand znalazł kilka listów pod adresem pana Kesselbacha. Oddał je sędziemu śledczemu.

Była także paczka, którą doręczyła miejska poczta paryska. Ponieważ papier, w który była zawinięta, był trochę rozdarty, mógł pan Lenormand dojrzeć szkatułkę hebanową, na której wyryte było imię Rudolfa Kesselbacha.

Zaciekawiony otworzył ją. Oprócz szczątków lusterka, którego oprawę widzieć jeszcze było można po wewnętrznej stronie wieczka, szkatułka zawierała bilet wizytowy Arsena Lupin.

Jeden szczegół jednakże żywo zainteresował szefa bezpieczeństwa. Zewnątrz, pod spodem pudełka znajdowała się mała karteczka z niebieską obwódką, podobna do tej, którą podniósł w pokoju na czwartem piętrze, tam gdzie znaleziono papierośnicę; i na tej karteczce również była cyfra 813.

CZĘŚĆ DRUGA.

Pan Lenormand zaczyna działać.

— Auguście, wprowadź pana Lenormand.

Woźny wyszedł i w kilka sekund później wprowadził naczelnika służby bezpieczeństwa publicznego. W obszernym gabinecie ministerstwa przy placu Beauvan znajdowały się tylko trzy osoby: sławny Volenglay, od trzydziestu lat leader partyi radykalnej, obecny prezydent Rady i minister spraw wewnętrznych — pan Testard, naczelny prokurator i prefekt policyi, pan Delaume.

Prefekt policyi i naczelny prokurator nie powstali z miejsc, na których siedzieli podczas długiej rozmowy, jaką prowadzili z prezydentem Rady, ten jednakże podniósł się i ściskając rękę szefa bezpieczeństwa, przemówił do niego najserdeczniejszym tonem:

— Nie wątpię, że domyślasz się, drogi panie Lenormand, dlaczego prosiłem cię, abyś przybył?

— Chodzi tu o sprawę Kesselbacha?

— Tak jest, kochany Lenormand, chodzi tutaj o sprawę Kesselbacha. Ale zanim o niej zaczniemy mówić, zwracam uwagę pańską na jeden punkt... na punkt, który korci przedewszystkiem pana prefekta policyi. Panie Delaume, niech pan łaskawie wytłómaczy panu Lenormand...

— O, pan Lenormand wie doskonale, co ja o tem myślę — odpowiedział prefekt tonem, który nie zdradzał życzliwości dla podwładnego — już rozmawialiśmy o tem; nie taiłem tego, co myślę o jego niewłaściwem zachowaniu się w Pallace-Hotel... Powszechne jest oburzenie...

Pan Lenormand wstał, wyjął z kieszeni złożony arkusz papieru i położył go na stole.

— Co to takiego?

— Moja dymisya, panie prezydencie.

Valenglay skoczył.

— Co? pańska dymisya? Z powodu dobrotliwej uwagi ze strony pana prefekta, do której tenże pan prefekt nie przywiązuje zresztą żadnego znaczenia... nieprawdaż, panie Delaume, żadnego znaczenia? I otóż pan zaraz bierze na kieł!... Przyznaj pan, kochany panie Lenormand, że masz dyabelny charakter... No dalej, dalej... schowaj pan ten papierek i mówmy poważnie.

Szef bezpieczeństwa usiadł, a Valenglay, nie dopuszczając do słowa prefekta, który nie ukrywał niezadowolenia, przemówił:

— W dwóch słowach, panie Lenormand, oto w tem rzecz: powrót na scenę Lupina jest nam nie na rękę. Dość długo już ta figura kpiła sobie z nas. To było zabawne, przyznaję, i ja sam się pierwszy śmiałem. Ale już teraz nie o to chodzi. Chodzi tu o zbrodnie. Mogliśmy znosić Lupina, dopóki zabawiał galeryę. O ile morduje — nie.

— A więc panie prezydencie, czegóż pan właściwie żąda?

— Czego my żądamy? toż to takie proste... Najpierw jego aresztowania — a potem jego głowy.

— Jego aresztowanie lada dzień mogę panom przyobiecać. Ale jego głowy — nie.

— Jakto! Gdy go się zaaresztuje, pójdzie przed sąd przysięgłych, skazany będzie niechybnie... a wtedy na szafot!

— Nie.

— Dlaczego nie?

— Gdyż Lupin nie jest winien morderstwa.

— Co? Ależ pan chyba zwaryowałeś, panie Lenormand. A trupy w Palace-Hotel, to może bajka? Czyż nie było tam potrójnego morderstwa?

— Owszem było — ale to nie Lupin je popełnił.

Szef wygłosił te słowa powolnie, ze spokojem i przekonaniem; zrobiło to silne wrażenie.

Prefekt i prokurator zaprotestowali. Valenglay zaś rzekł:

— Przypuszczam, panie Lenormand, że pan tej hypotezy nie wygłaszałbyś, nie mając poważnych danych?

— To nie żadna hypoteza.

— Jakiż na to masz pan dowód?

— Miałbym na to przedewszystkiem dwa — dwa dowody natury moralnej, które odrazu przytoczyłem panu sędziemu śledczemu, a które dzienniki podkreśliły. Przedewszystkiem Lupin, taki, jakim go znamy z dotychczasowej karyery — Lupin z zasady nie zabija. Dalej — dlaczegóż miałby tu zabijać, skoro cel swej wyprawy — kradzież — osiągnął i nie potrzebował się obawiać przeciwnika, związanego i zakneblowanego?

— Przypuśćmy. Ale fakta?

— Fakta nie mówią przeciw rozumowi ani przeciw logice — zresztą fakta dotychczas jeszcze zachowuję dla siebie. Co znaczyłaby obecność Lupina w pokoju, gdzie znaleziono papierośnicę? Z drugiej strony czarne ubranie, które znaleziono, oczywiście ubranie mordercy, nie zgadza się wymiarami i wzrostem Arsena Lupin.

— A więc go pan znasz?

— Ja go nie znam. Ale Edwards go widział, Gonrel go widział — a ten, którego oni widzieli, nie jest tym samym, którego widziała pokojówka na służbowych schodach, gdy ciągnął Chapmana za rękę.

— Więc jakżeż się to panu przedstawia?

— Pan chce wiedzieć, jak się przedstawia **prawda**, panie prezydencie? Oto tak, o tyle przynajmniej, o ile ja wiem: We wtorek 16 kwietnia pewien człowiek... Lupin?... wtargnął do pokoju pana Kesselbacha około drugiej godziny po południu...

Wybuch śmiechu przerwał panu Lenormand. To prefekt policyi dał folgę wesołości.

— Pozwól pan sobie powiedzieć, panie Lenormand, że twierdzenia pańskie są nieco pośpieszne. Dowiedzionem jest, że dnia tego o godzinie trzeciej pan Kesselbach był w *Crédit Lyonnais* i że zeszedł do podziemi, do sali depozytowej. Własny jego podpis na rejestrze to stwierdza.

Pan Lenormand z uszanowaniem odczekał, aż przełożony jego skończył. Następnie, nie zadając sobie nawet trudu odpowiadania wprost na zaczepkę, ciągnął dalej:

— Około drugiej godziny popołudniu Lupin przy pomocy wspólnika, niejakiego Marco, związał pana Kesselbacha, obrał go ze wszystkich pieniędzy, jakie miał przy sobie i zmusił do wydania cyfry schowku, który wynajął w *Crédit Lyonnais*. Skoro tylko posiedli tajemnicę, Marco wyszedł. Połączył się z drugim wspólnikiem, który, korzystając z niejakiego podobieństwa do p. Kesselbacha — podobieństwa, które zresztą podkreślił dnia tego, ubrawszy się podobnie i włożywszy złote okulary — wszedł do *Crédit Lyonnais*, podrobił podpis pana Kesselbacha, wypróżnił schowek i wyszedł w towarzystwie Marca. Marco natychmiast zatelefonował do Lupina. Lupin, pewny już wtedy, że go p. Kesselbach nie oszukał i osiągnąwszy cel wyprawy, poszedł sobie.

Valenglay zdawał się wahać.

— Tak... tak... przypuśćmy... ale to mnie dziwi, że taki Lupin miałby tak wiele ryzykować dla takiej marnej korzyści... trochę banknotów i zawsze wątpliwa zawartość żelaznej szafy...



W serwecie leżał sztylet stalowy z rączką.

— Lupin łakomił się na coś więcej. Chciał mieć albo safianową kopertę, która znajdowała się w torbie podróżnej, albo szkatułkę hebanową, która znajdowała się w banku. Tę szkatułkę zdobył, skoro ją próżną odesłał. To też dzisiaj zna — albo też jest na drodze ku temu — ów sławny projekt, który tworzył pan Kesselbach, i o którym krótko przed śmiercią mówił ze swym sekretarzem.

— Cóż to jest za projekt?

— Ja tego nie wiem. Dyrektor ajencyi Barbareux, z którym o tem mówiłem, powiedział mi, że p. Kesselbach poszukiwał człowieka — jakiegoś, zdaje się, upadłego indywiduum — nazwiskiem Piotr Leduc. Dla jakich powodów go szukał, i co tamtego wiązało z jego projektem? tego nie umiem powiedzieć.

— Dobrze — rzekł pan Valenglay. — Tyle, co dotyczy Arsena Lupin. Rola jego już skończona. Pan Kesselbach związany, ograbiony. Ale żywy!... I cóż się dzieje aż do chwili, gdy go znajdują zabitym?

— Nic się nie dzieje przez szereg godzin: nic, aż do nocy. — Ale w ciągu nocy ktoś tam wszedł.

— Którędy?

— Przez pokój Nr. 420, jeden z tych, które były zarezerwowane dla pani Kesselbach. Ów człowiek widocznie posiadał klucz dorobiony.

— Ależ — zawołał prefekt policyi — przecież pomiędzy tym pokojem a apartamentem wszystkie drzwi pozamykane były na zasówki, a drzwi tych jest pięcioro!

— Jest jeszcze balkon.

— Balkon!

— Tak! Balkon jest jeden tylko dla całego piętra od tej ulicy.

— Ale przegrody na nim?

— Zręczny człowiek może przez nie przejść. A ten przez nie przeszedł. Znalazłem ślady.

— Ależ wszystkie okna apartamentu były pozamykane i przekonano się, już po spełnionej zbrodni, że były zamknięte.

— Z wyjątkiem jednego okna, okna z pokoju sekretarza, które było tylko przymknięte; ja sam się o tem przekonałem.

Teraz prezydent gabinetu zaczął się wahać, wysłuchawszy tak ścisłego, logicznego, zwięzłego, na faktach opartego wywodu pana Lenormand. Z rosnącem zainteresowaniem postawił pytanie:

— Ale ten człowiek... w jakim on celu tam chodził?

— Tego nie wiem.

— A! nie wie pan...

— Nie... ani tego nie wiem, kto on jest.

— Dlaczegóż jednak zabijał?

— Nie wiem. Wszystko to, to tajemnica. Co najwyżej możnaby przypuszczać, że nie przychodził z zamiarem mordowania, ale że i on także przychodził z zamiarem pochwycenia dokumentów, zawartych w safianowej kopercie i w szkatułce — i że znalazłszy się przypadkowo w obecności rozbrojonego wroga, zabił go.

Valenglay szepnął:

— To byćby mogło... tak, ściśle biorąc... I zdaniem pańskiem znalazł te dokumenty?

— Szkatułki nie znalazł, gdyż jej tam nie było, ale znalazł na dnie torby podróżnej czarną safianową kopertę. Tym sposobem Lupin i... ten drugi osiągnęli to samo; obaj to samo wiedzą, co dotyczy planu pana Kesselbacha.

— Czyli, że — zauważył prezydent — między sobą będą się zwalczali.

— Oto właśnie. I walka już się zaczęła. Morderca, znalazłszy bilet Lupina, przypina go szpilką do ubrania zamordowanego. — Tym sposobem wszystkie pozory mówić będą przeciw Arsenowi Lupin. Arsen Lupin będzie uchodził za mordercę.

— W istocie... w istocie... — oświadczył Valenglay — wyrachowanie było dość trafne.

— I wyrachowanie byłoby się powiodło — ciągnął dalej pan Lenormand — gdyby nie to, że zbrodniarz, czy to idąc, czy wracając, zgubił pod numerem 420 swoją papierośnicę, a garson Gustaw Bedaud ją znalazł. Wtedy, wiedząc, że jest odkrytym, albo, że bezpośrednio grozi mu odkrycie...

— Skąd on się o tem dowiedział?

— Skąd? Ależ od samego sędziego śledczego, pana Formerie! Sledztwo odbywało się przy otwartych drzwiach. Morderca najniezawodniej znajdował się wpośród obecnych, urzędników hotelowych i dziennikarzy, podczas gdy Gustaw Bedaud zeznawał i gdy go sędzia śledczy posłał na strych po papierośnicę. Gustaw Bedaud poszedł na górę. Tamten poszedł za nim i ugodził go. To druga ofiara.

— A trzecia? — zapytał pan Valenglay.

— Ten biedak sam podstawił się pod cios. Widząc, że Bedaud nie wraca, Chapman ciekaw sam naocznie obejrzeć tę papierośnicę, poszedł z dyrektorem hotelu. Zaskoczony przez mordercę, dał mu się porwać, zaciągnąć do jednego z pokoi i tam został zamordowany.

— Ależ dlaczego dał się tak zaciągnąć, dlaczego dał sobą tak rządzić człowiekowi, o którym wiedział, że jest mordercą pana Kesselbacha i Gustawa Bedaud?

(Ciąg dalszy nastąpi).

Najwyższy most w Galicyi.

W czasie zeszłorocznej powodzi w okolicy Przemyśla, z powodu wylewu Sanu, uległ zniszczeniu most obok wsi Iskania pod Dubieckiem. Ponieważ most ten łączył ważne arterye komunikacyjne, przeto władze administracyjne zarządziły odbudowanie mostu i to w sposób, któryby zapobiegł na przyszłość zerwaniu go przez wodę.



Fot. M. Todt, Przemyśl.

Najwyższy most w Galicyi: Drewniany most na Sanie we wsi Iskania pod Dubieckiem.

W najbliższym czasie nowy most na Sanie zostanie ukończony, a dziś już można stwierdzić, że będzie to dzieło bardzo okazałe, mimo iż do budowy użyto materyału drzewnego. Na szczególną zaś uwagę zasługuje budowa nowego mostu z tego powodu, iż wysokość jego wysi prawie 18 metrów, wskutek czego będzie on należał do najwyższych w tym rodzaju mostów w Galicyi.

Budową wspomnianego mostu kieruje inżynier namiestnictwa Łukomski.

Królewiacy w Pradze.

Rolnictwo i przemysł, z rolnictwem w związku ścisłym stojące, rozwinęli Czesi w swym kraju bardzo wysoko. Niejednego też można się u nich w zakresie obu tych dziedzin nauczyć. Nic dziwnego zatem, że każda czeska wystawa rolnicza lub rolniczo-przemysłowa daje dużo sposobności do zaznajomienia się z rzeczami nowemi, gdzieindziej nieznanemi, że więc warto ją zwiedzić nietylko dla zaspokojenia ciekawości ale przedewszystkiem dla wykształcenia własnego.

Dobrze też zrobiło grono ziemian z okolicy Warszawy, że na wystawę rolniczą, którą otwarto niedawno w Pradze, wybrało się gremialnie wraz z pokaźnym zastępem wieśniaków ze swoich dóbr.

Mimo krótkiego pobytu w stolicy Czech, skorzystali wieśniacy z Królestwa Polskiego bardzo dużo; zaznajomili się szczegółowo z ogromnym postępem, jaki rolnictwo u Czechów w ostatnich latach uczyniło.

Pożądanem by było, aby i z Galicyi wycieczkę taką na wystawę praską urządzić. Zająćby się tem powinna która z naszych instytucyi rolniczych.



Królewiacy w Pradze: Włościanie i włościanki z pod Warszawy na wystawie rolniczej w Pradze czeskiej.

Zgon znakomitego bakteryologa.

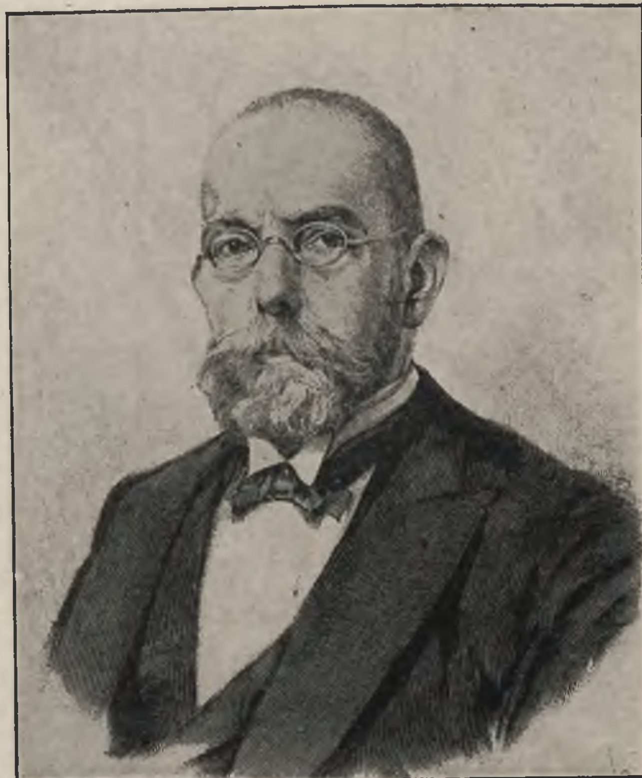
W nowszej literaturze medycznej zdobył sobie dzięki swym bakteryologicznym badaniom, zwłaszcza w zakresie gruźlicy, cholery, dżumy, malaryi i spiączki, jedno z najpoczestniejszych miejsc profesor berlińskiego uniwersytetu, dr. Robert Koch. Wprawdzie teorye jego spotykały się tu i ówdzie z ostrą opozycyą, mimo to pozostawił po sobie sławę pierwszorzędnego bakteryologa, wskazał bowiem bez wątpienia drogę, na której mogą być prowadzone dalsze badania naukowe.

Robert Koch urodził się w r. 1843 w Klausthal w Hannowerze. Po ukończeniu studyów lekarskich w Getyndze objął posadę asystenta w szpitalu powszechnym w Hamburgu a następnie osiadł w Lungenhagen pod Hannowerem. Stąd przeniósł się w Poznańskie do Rakoniewic, a od r. 1872 pełnił obowiązki fizyka powiatowego w Olsztynie i tu rozpoczął badania bakteryologiczne, które miały mu zjednać taką sławę. W r. 1882 dokonał wiekopomnego odkrycia lasecznika gruźlicy, w r. zaś 1883 wysłano go do Egiptu i Indyi, jako przewodniczącego niemieckiej komisyi dla badania cholery. W czasie tej wyprawy udało mu się odkryć przecinkowca cholery, za co otrzymał od rządu nagrodę pieniężną w kwocie 100.000 marek.

W r. 1885 objął katedrę w uniwersytecie berlińskim i kierownictwo tamtejszego zakładu hygienicznego, od r. 1891 prowadził nadto zarząd zakładu badań chorób zakaźnych. Z tego czasu pochodzi oświadczenie Kocha, iż wynalazł środek pokonywujący gruźlicę (t. z. tuberkulinę), który jednak okazał się bardzo problematycznym i bardzo rychło zniknął z widowni.

W r. 1896 udał się do Afryki południowej dla zbadania trapiącej tam bydło zarazy i którą przy pomocy wynalezionego przezeń szczepienia ochronnego istotnie stłumiono. W r. 1897 na czele niemieckiej wyprawy wyruszył do Bombaju celem studyów nad dżumą, a stamtąd do Afryki, gdzie zbadał śmiertelną śpiączkę, krzewiącą się za pośrednictwem muchy tse-tse. W koloniach niemieckich na Nowej Gwinei i w Indyach holenderskich badał malaryę.

Po powrocie do Berlina rozpoczął w r. 1900 dalsze studya nad gruźlicą i wystąpił przeciw twier-



Zgon znakomitego bakteryologa: Profesor berlińskiego uniwersytetu, tajny radca dr. Robert Koch.

dzeniu, jakoby między nią a gruźlicą u bydła, zachodził jakiś przyczynowy związek. Zdania jego nie potwierdziły jednak studya innych badaczy.

Koch pozostawił wiele prac naukowych, które zjednały mu światową sławę.

Zmarł w Baden Baden, na paraliż serca, będący następstwem przebytego niedawno zapalenia płuc.

Macierz szkolna na Śląsku.

W ubiegłą niedzielę odbyło się w Cieszynie walne zebranie Macierzy szkolnej, na którem zjawiło się 177 delegatów, reprezentujących przeszło



Macierz szkolna na Śląsku: Obrady członków Macierzy pod przewodnictwem mecenasa A. Osuchowskiego.

30 kół śląskich. Zebranie zagaił prezes Filasiewicz, witając serdecznie zgromadzonych i zachęcając do wspólnej pracy w łonie towarzystwa.

Przewodnictwo objął na ogólne życzenie zebranych mecenas A. Osuchowski z Warszawy. Z porządku dziennego wygłoszono referaty o stosunkach narodowościowych i szkolnych w Bialskiem.

Zebranie, trwające dzień cały, zakończyło się uchwaleniem ważnych rezolucyi w sprawie szkolnictwa polskiego. — Uchwalono mianowicie założyć szkołę wydziałową żeńską w Cieszynie, szkołę ludową w Gutwałdzie i ochronkę w Porębie. Nadto uchwalono cały szereg rezolucyi w sprawach administracyjnych towarzystwa — a wśród nich budżet, sięgający 364 tysięcy koron.

Jestto poważna cyfra jak na Śląsk, który aczkolwiek coraz więcej łoży na cele szkolnictwa — jednak wszystkim wydatkom podołać nie może. W roku ubiegłym złożył Śląsk przeszło 40 tysięcy koron a więc tyle, co cała Polska, mimo to wszystko rok został zakończony deficytem blisko 60 tysięcy koron.

Macierz szkolna w r. b. będzie musiała apelować do ofiarności społeczeństwa całego i to o wydatną pomoc, o ile nie zechce się narazić już nie na zaprzestanie dalszej pracy, ale poprostu na zwinięcie już istniejących instytucyi szkolnych.

Macierz w u. r. utrzymywała gimnazyum realne w Orłowie, szkołę wydziałową męską w Cieszynie, 8 szkół ludowych i tyleż ochronek, w których od zczechizowania i zgermanizowania uchroniono przeszło dwa tysiące dziatwy polskiej. Nadto Macierz wspomagała uczniów stypendyami licznemi. Koła Macierzy w liczbie blisko 40 rozwijały się normalnie, a główną ich pracę stanowiły odczyty, zebrania, wiece oraz przedstawienia teatralne, z których czerpano zyski nietylko materyalne ale i moralne.

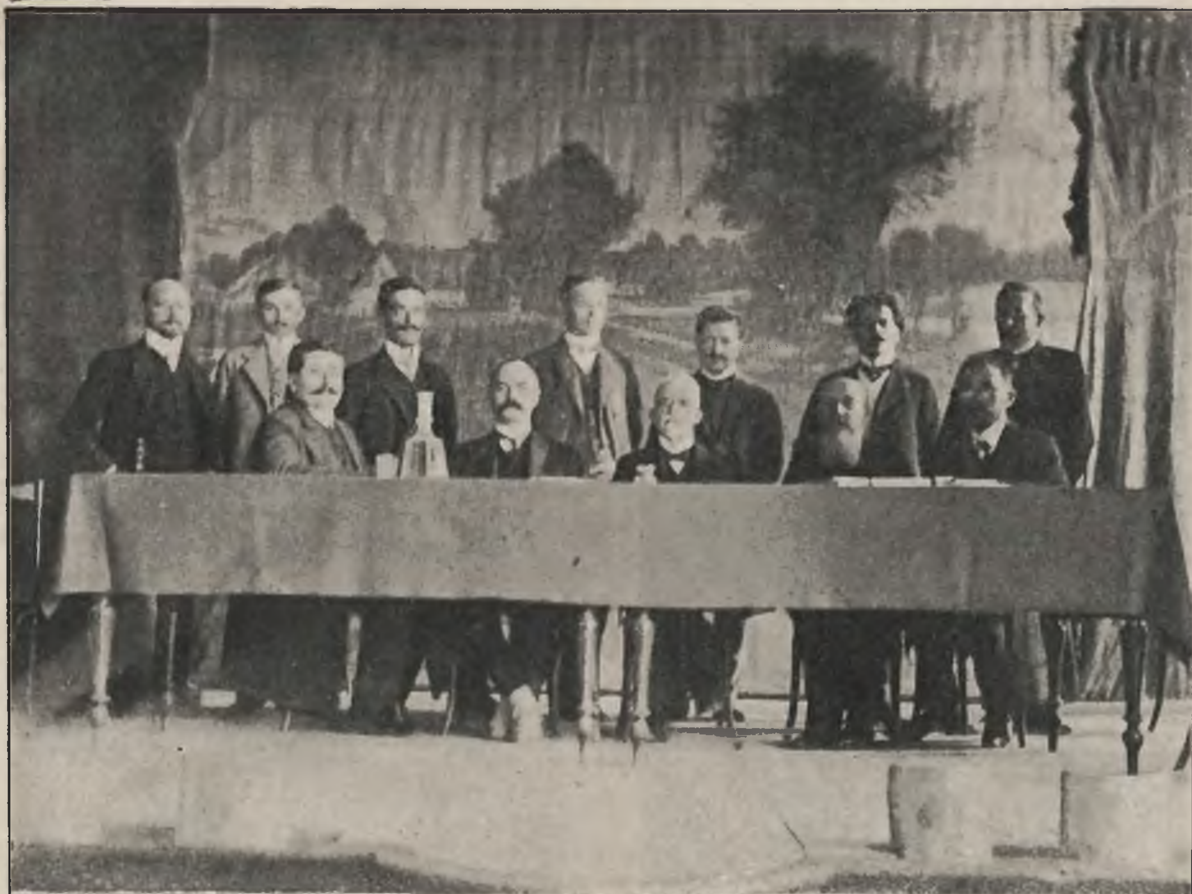
Zwyczaje ludowe w Galicyi.

Ludność wiejska w Galicyi, zarówno polska jak ruska, jest usposobiona przeważnie bardzo konserwatywnie, troskliwie też przestrzega tradycyjnych zwyczajów, przekazanych jej przez przodków.

Zwyczaje te pozostają przeważnie w ścisłym związku z wierzeniami religijnemi ludu i w nich mają swój początek, sięgający nieraz bardzo dalekiej przeszłości. Wiadomo, że wśród zwyczajów lu-

Fot. M. Todt, Przemyśl.

Zwyczaje ludowe w Galicyi: Procesya ludu ruskiego, błagająca o odwrócenie klęski gradobicia.



Macierz szkolna na Śląsku: Prezydyum i wydział Macierzy. Przy stole siedzą od lewej ku prawej: Wiceprezes T. S. L. Natanson, wiceprezes Macierzy Mohr, mecenas Osuchowski, prezes Macierzy Filasiewicz i skarbnik Macierzy Stonawski.

du nie brak takich, które pochodzą z czasów jeszcze przedchrześcijańskich, które zdołały się aż dotąd, w zmienionej tylko nieco formie, utrzymać.

Jednym z takich obrzędów, przez wieki utrzymywanych aż po dzień dzisiejszy, jest zwyczaj odżegnywania klęski gradobicia zapomocą nabożeństwa i modłów, odprawianych na wolnem powietrzu w uroczystej procesyi.

Kto wie, jak często Galicyę klęski gradobicia nawiedzają i jak olbrzymie wyrządzają szkody, ten też zrozumie, dlaczego lud ruski tłumnie bierze udział w takich obrzędach.

Zdjęcie nasze przedstawia właśnie tłum ludności ze wsi Piątkowej koło Birczy, zebrany przed cerkwią po procesyi.

Pogrzeb znakomitej powieściopisarki.

Zgon ś. p. Elizy Orzeszkowej odbił się echem szczerego, niekłamanego żalu w całej Polsce. Nazwisko znakomitej autorki było znane wszędzie tam, gdzie biją serca polskie, gdzie rozbrzmiewa polska mowa, więc też wszędzie tam odczuto stratę, jaką społeczeństwo nasze, jaką literatura polska z powodu zgonu Orzeszkowej poniosła.



Pogrzeb znakomitej powieściopisarki: Ś. p. Eliza Orzeszkowa na marach.

Wyrazem i dowodem czci, jaką cały naród ś. p. Orzeszkową otaczał, był pogrzeb zwłok zmarłej, który zamienił się w wielką, wspaniałą manifestacyę najszczytniejszych uczuć narodowych. Pogrzebem zajął się komitet, na którego czele stanął Władysław ks. Drucki-Lubecki.

Ceremonie żałobne rozpoczęły się rano, a już na parę godzin przedtem tłumy nieprzejrzane zajęły ulicę, przy której wznosi się skromny dworek, dom żałoby. Po godzinie 10 ruszył pochód ku kościołowi farnemu. Na czele szły delegacye stowarzyszeń i związków. Było tam przeszło 200 osób, reprezentujących 100 z górą korporacyj. Przeszedłszy głównemi ulicami Grodna, stanął kondukt o godzinie 11 przed kościołem, do wnętrza którego, wobec szczupłości miejsca, wpuszczono tylko delegacye. Nabożeństwo żałobne odprawił ks. dziekan Elert, poczem ks. redaktor Stanisław Miłkowski wygłosił z kazalnicy przepiękną mowę, kreśląc życiorys znakomitej autorki i wielkiej patryotki, oraz oddając hołd jej niespożytym zasługom.

Z kościoła podążył żałobny pochód na cmentarz miejscowy, oddalony od miasta o półtorej wiorsty. Grób, w którym zwłoki ś. p. Orzeszkowej na wieczny złożono spoczynek, a znajdujący się tuż obok grobu jej drugiego męża ś. p. Nahorskiego, to prześliczne, pełne uroku miejsce, jakby wymarzone dla tej, co nad wszystko ukochała smętny, nadniemeński krajobraz.

Przed spuszczeniem trumny do grobu przemówili: adwokat warszawski Stanisław Kijeński, jako przedstawiciel pracy społecznej, dr. Henryk Nuss-



Pogrzeb znakomitej powieściopisarki: Ś. p. Eliza Orzeszkowa w swym gabinecie (ostatnie zdjęcie).

baum, jako delegat warszawskiej gminy żydowskiej, profesor K. Król w imieniu stowarzyszenia nauczycielstwa polskiego, dr. Zygmunt Kramsztyk, imieniem towarzystwa kultury polskiej, Józef Kotarbiński jako delegat warszawskiego towarzystwa literatów i dziennikarzy polskich oraz kasy literackiej, p. Jahołkowska-Koszutska, imieniem stowarzyszenia równouprawnienia kobiet, Edward Paszkowski imieniem *Dziennika kijowskiego* i koła literatów i dziennikarzy w Kijowie, adwokat Miłkowski imieniem polskiej ludności Grodna, a p. Szapira imieniem żydowskiej, wreszcie hr. Krasicki, jako przedstawiciel litewskiego ziemiaństwa.

Pogrzeb ś. p. Orzeszkowej skończył się aż po wpół do 5 popołudniu. A przez cały ten długi czas panował wśród obecnych nastrój prawdziwie podniosły i uroczysty, odpowiadający ogólnemu wzruszeniu i serdecznemu żalowi.

Jubileusz straży pożarnej w Jordanowie.

Przed dwudziestu pięciu laty zawiązało grono obywateli Jordanowa ochotniczą straż pożarną, która mimo bardzo skromnych środków materyalnych, jakie w początkach swego istnienia miała do rozporządzenia, rozwinęła się bardzo pięknie i w ciągu ćwierćwiekowej działalności oddała znakomite usługi miastu swemu i całej okolicy.

Celem upamiętnienia rocznicy założenia straży, oraz celem uczczenia grona jej najstarszych i najzasłużeńszych członków, urządzono niedawno bardzo piękną uroczystość, obecnie zaś nadeszły z namiestnictwa medale honorowe dla 12 członków straży, którzy nieprzerwanie przez 25 lat przy straży służyli swemi siłami i swem poświęceniem.

W ubiegły czwartek, w dzień Bożego Ciała, nastąpiło uroczyste przypięcie wspomnianych medali rządowych odznaczonym strażakom. Do zebranych jubilatów oraz całego oddziału straży przemówił w gorących słowach zastępca burmistrza i naczelnik straży, p. Maryan Köhler, który sam również odznaczenie to otrzymał.

Rycina nasza przedstawia grono odznaczonych strażaków.



Pogrzeb znakomitej powieściopisarki: Delegacye stowarzyszeń w pochodzie pogrzebowym.

Polacy na obczyźnie.

Z zadowoleniem stwierdzić należy, że życie koleżeńskie w naszych towarzystwach akademickich za granicą wre w całej pełni. Różni się ono zasadniczo od ducha, panującego w niemieckich burszenszaftach, gdzie główny nacisk kładzie na się czczenie Bakchusa; nasza natomiast młodzież pamięta o kulturalniejszych potrzebach a polskie stowarzyszenia akademickie, rozprószone po całym świecie, są punktem zbornym dla rodaków, ostoją ich polskości i łącznikiem między nimi a ojczyzną.

Szczególniejszy rozwój wykazują związki polskich akademików górniczych we Freibergu saskim, Leoben i Przybramie, gdzie nasza młodzież, pragnąca się poświęcić górnictwu, gromadzi się w wielkiej liczbie. Życie koleżeńskie i łączność, jakie tu panują, mogą posłużyć za piękny wzór dla naszych krajowych stowarzyszeń akademickich. Znaną jest tu instytucya tak zwanych „starych panów“, to jest byłych członków, którzy choć dawno opuścili szeregi młodzieży i rozpoczęli samodzielną pracę, nie zerwali przecież kontaktu z towarzystwem.

Taki zjazd „Starych panów“ odbył się 8 i 9 maja b. r. w Freibergu saskim w. polskiem kole akademików górniczych i hutniczych „Sarmatia“. *Starzy panowie* zebrali się w pokaźnej liczbie, a nadto przybyły delegacye bratnich stowarzyszeń.



Jubileusz znanego lekarza: Radca cesarski dr. Henryk Ebers.

Pogrzeb znakomitej powieściopisarki: Wyniesienie zwłok śp. Orzeszkowej z kościoła farnego w Grodnie.

ARNOLD BENNETT.

WIDMO

Rozdział I.

Mój świetny kuzynek.

Jestem teraz o ośm lat starszy, niż byłem wtedy. I nigdy jeszcze nie uświadomiłem sobie, że rosnę w lata i w doświadczenie, dopóki uprzytomniając sobie różne szczegóły tej sprawy, nie przypomniałem sobie nagle, z jakiem onieśmieleniem stałem wówczas wobec wyniosłej miny subjekta w kasie zamawiań. Zapytałem go:

— Czy mogę dostać miejsce w amfiteatrze na dzisiejszą operę?

Nie odpowiedział mi na to wcale. Stulił tylko wargi i zrobił ręką lekki gest przeczący. Nie rozumiejąc w mej prostoduszności, że tym sposobem wyraża wyższą litość nad nieświadomością moją, pytałem niewinnie dalej:

— A na balkonie?

Tym razem raczył przemówić.

— Za dnie-go biletu już pan nie dostanie.

Zrozumiałem teraz, że ten pan w duszy naśmiewa się z niewczesnej zachcianki mojej. Zarumieniłem się i chwyciłem za klamkę. Zapewne jako dobry chrześcijanin, pomyślał, że warto nieświadomego oświecić.

— To dzisiaj pierwszy występ Rozetty Rozy — objaśnił wyniośle i łaskawie. — Miałem dziś rano jeszcze dwa ostatnie fotele, ale zamówiono je telefonicznie, płacąc sześć funtów za każdy.

Uśmiechnął się. Tym uśmiechem pognębił mnie do reszty. Dziś naturalnie mam więcej doświadczenia. Dzisiaj wiem, że subjekci w kasach teatralnych, choć noszą modnie wiązane krawaty i wciąż jakieś cudowności wyprawiają z telefonem, nie są bynajmniej władcami operowego świata: wiem, że nie oni tworzą popularność wielkich soprarów i że do domu wracają tramwajem, nie karetką.

— Rozumiem — odpowiedziałem, wynosząc się na ulicę, skonfundowany wielce. Bolało mnie, że każdy po mnie poznać musi, iż jestem nowicyuszem w stolicy, świeżo przybyłym z Edynburga, nieobeznanym ze stosunkami, jak prosty wieśniak.

Gdybyście mnie wtedy widzieli, niezdecydowanie stojącego nad brzegiem trotuaru, bylibyście ujrzeli we mnie smukłego młodzieńca, trochę odświętnie ubranego, z cienkim wąsika sypiącego się nad górną wargą, z kapeluszem nieco zesuniętym z czoła; ten młodzieniec miał bujną, falującą czuprynę, dobrze zarysowany owal twarzy i dużo młodości i życia w naiwnych oczach. Całkiem o tem nie wiedział, że jest jeszcze zupełnie niedojrzałym człowiekiem! Zupełnie o tem nie wiedział, że giętkie linie jego członków miały w sobie wdzięk niemal niewieści, tak, że co starszych ludzi usposabiało ku niemu ojcowsko! Zupełnie o tem nie wiedział, że wszystkiego dopiero uczyć się będzie musiał i że wszyskie troski i kłopoty życia ma przed sobą! I doprawdy uważał się za dojrzałego mężczyznę, ponieważ świeżo otrzymał stopień doktorski...

Czerwcowe słońce radośnie świeciło na niebie, a lekki wiaterek pędził mleczno-białe obłoczki. Miasto przedstawiało się wesoło, świeżo, ruchliwie, jak to Londyn potrafi podczas wiosennego sezonu. Wesele ruchliwych ulic znajdowało oddźwięk w weselu mego serca.

Po przeciwnej stronie ulicy błyszczała bogata fasada dobrze znanego teatralnego klubu, którego tygodniowe przyjęcia w ostatnich czasach nabrały rozgłosu. Przypominam sobie, że dumny byłem z tego, iż ten budynek znam — ja, który dotąd tak mało rzeczy znałem w Londynie; z ciekawością przyglądałem się wspaniałej liberyi dwóch portyerów, nieruchomych poza szybami portalu, gdy nagle przed bramę zajechał wielce elegancki ekwipaż. Dwaj portyerzy w białych rękawiczkach ożyli natychmiast i rzucili się ku drzwiom.

Był to zadziwiająco elegancki zaprzęg, godzien tej uwagi, jaką na siebie zwrócił wpośród publiczności. Konie były to niespokojne, lśniące siwki, może trochę nie dość rosłe, ale z takim ogniem i z takiemi chodami, że warte były po sto funtów każdy; uprząż nabijana była srebrem; lekki wózeczek, arcydzieło zgrabności i szyku; stangret z tyłu, różowa, nieoceniona doskonałość. Ale koroną wszystkiego był sam powożący, młody pan, który od świetnej białości oryginalnego fasonu kołnierzyka aż do czubka maleńkich bucików, tchnął zbytkiem i elegancyą. Jego rękawiczki, szpilka w krawacie, łańcuszek u zegarka, jego wąs, jego monokl, zagięcie dolnego jego ubrania, krój paltota, załamania kapelusza, wszystko składało się na jeden harmonijny akord ostatniego słowa mody. Wyglądał, jak gdyby wypłynął niepokalany prosto z pracowni krawca i fryzyera — arcydzieło, duma magazynów...

W chwili, gdy ta cudowna osobistość wstała, gotując się do wysiadania, szkiełko jej oka padło przypadkiem na moją osobę. Przyjrzał mi się niedbale, odwrócił spojrzenie i znowu mi się przyjrzał, już z mniejszem roztargnieniem. I ja z mej strony poczułem budzące się wspomnienie.

— To mój kuzyn Sullivan — pomyślałem — ciekaw też jestem, czy się będzie chciał przywitać.

Nasze oczy spotkały się wzajemnie. Wysunąłem nogę na ulicę, cofnąłem ją i znowu ją wysunąłem, wreszcie przeszedłem w poprzek ulicy.

Był to w istocie sławny Sullivan Smith, kompozytor tych słynnych i cieszących się powodzeniem operetek „Japoński Kot“, „Arabska Dziewczyna“ i „Moja Królowa“. I on był łaskaw mnie poznać! Gesty jego wskazywały w istocie, że czuje po kuzynowsku. Zbliżyłem się do niego. To moment w życiu mojem historyczny. Podczas gdy groom trzymał przy pysku dyszlowego konia, a bliźniaczy portyerzy asystowali bezczynnie i pełni godności, my dwaj ściskaliśmy sobie dłonie.

— Kiedyśmy się to po raz ostatni widzieli? — zapytał.

— Z piętnaście lat temu... coś koło tego — odpowiedziałem, czując się tak rozkosznie starym!

— Czy ty pamiętasz, jak ci wtedy wytermosiłem czuprynę?

— Doskonale pamiętam! — (Nie wiem dlaczego, ale jakoś czułem się dumny z tego, że on mi wytermosił czuprynę).

— Nie chwali mi się to zresztą — dodał wspaniałomyślnie, zważywszy, że byłem o tyle lat starszy od ciebie i o głowę wyższy. Nawiasem Karolu, ile mówiłeś, że masz lat?

Odnosił się do mnie jak, chłopak z szóstej klasy do chłopaka z czwartej klasy.

— Wcale nie mówiłem, ile mam lat — odpowiedziałem — ale mam lat dwadzieścia trzy.

— No to w każdym razie w twoim wieku możesz wypić kieliszeczek. Pójdź stary, ze mną do klubu, napijemy się piołunówki. Tylko ja wpierw to wszystko odprawię.

Wskazał ręką na ekwipaż, na konie, na grooma i szepnąwszy słówko do ucha groomowi, odprawił ich rzeczywiście Poturkotało to brzęcząc i dzwoniąc ku Leicester Square. podczas gdy Sullivan półgłosem robił uwagi nad powożeniem grooma.

— Nie wyobrażaj sobie, mój drogi, że to mój zwyczaj zwozić się własnymi końmi do klubu — rzekł Sullivan. — Tego nie robię. Przytransportowałem to dzisiaj, gdyż sprzedałem ten bagaż w całości pannie Lottie Cass. Znasz ją naturalnie?

— Nie mam przyjemności.

— No, mniejsza o to — ciągnął dalej — dość, że sprzedałem jej wszystko to od a do z. I jak też myślisz, co ja na to miejsce zamierzam kupić?

— No co?

— Automobil, mój kochany!

W owym czasie osoba, kupująca automobil, ucho dziła za nieustraszonego awanturnika o romantycznym zakroju. I za takiego miał się Sullivan. Sam wyraz „automobil“ miał w sobie jakieś dziwne, przejmujące, romantyczne brzmienie.

— Dyabelny zuch z ciebie! — zawołałem na to.

— Jak widzisz — odpowiedział, rad, że zrobił na mnie wrażenie.

Wziął mnie pod ramię, jak dobry znajomy, zaprowadził do *fumoir'u* klubu, posadził w wygodnym pluszowym fotelu koloru heliotropu, przed onyksowym stoliczkiem i sam zagłębił się w drugi taki sam głęboki pluszowy fotel. I w tej wyścielanej ciszy *fumoiru*, gdzie cicho stąpająca służba w religijnem skupieniu podawała absynt z wodą, Sullivan zabrał się do zdejmowania ze siebie łańcuchów. Cała jego postać wydała mi się omotaną łańcuszkami, złotymi łańcuszkami. U jednego złotego łańcuszka miał złotą cygarnicę, z której wydobył papierosy o złoconych munsztukach. Na końcu drugiego zwisało złote pudełeczko do zapałek. Przy trzecim, który także przypadkiem wyciągnął, wisiały rozmaite rzeczy, nożyki, kluczyki, lusterka, ołówki. Osobliwa ceremonia! Czułem, że się znajduję w jakimś świecie złota.

Wreszcie jak dym z kadzielnicy uniósł się dymek złoconego papierosa i Sullivan podniósł do góry kielich z barwionego szkła; miarkując, że i mnie należy uczynić to samo, w odpowiedzi podniosłem mój; szkła nasze trąciły się, a Sullivan rzekł:

— Piję na pohybel starej rodzinnej waśni!

— I ja z tobą — odpowiedziałem.

I pociągnęliśmy.

Mój ojciec pokłócił się z jego matką w epoce, kiedy jeszcze operetek nie znano — a spór ten, jak to w rodzinach bywa — buchnął szeroko dokoła, jak ogień, lub szkarlatyna. Wytuzowanie mojej czupryny przez Sullivana w zamierzchłej przeszłości było jedną z tego sporu najważniejszych konsekwencyi.

— Niech im ziemia będzie lekką! — rzekł Sullivan.

Miał na myśli tych, którzy pierwsi wywołali spór. Podobał mi się ton, jakim wypowiedział te słowa, taki był czuły i ciepły. Wnosząc z niego, można było domyśleć, że w Sullivanie jest przecież coś więcej, niż to tylko, co wpadało w oczy, choć w oczy wpadało wiele. Wydał mi się sympatycznym. Trochę mnie onieśmielał, trochę mi się śmiesznym zdawał z tym całym przesadnym przepychem — ale był mi sympatycznym.

W następnej chwili już rozmawialiśmy o Sullivanie Smith. Z niezwykłą wprawą sam rozmowę wciągnął na te tory. Są osoby, które mają prawdziwy talent wyciągania rozmowy na swoją korzyść. Są to ci prawie zawsze, którzy otwarcie i szczerze interesują się sobą samymi. A takim był Sullivan. Można się starać umknąć im; można nawet gwałtem przerywać rozmowę w innym kierunku. Ale wszelki wysiłek będzie daremnym. Zwyciężą zawsze. Daleko lepiej oprzeć się wygodnie w fotelu i cieszyć się, że oni się cieszą.

Po dwóch minutach Sullivan nurzał się już w opowiadaniu o swojej karyerze.

— Ja nigdy nie miałem pretensyi do wysokiej sztuki, rozumiesz. To wszystko głupstwo! Przekonałem się, że umiem pisać melodye, które się ludziom podobają i które oni pamiętą. (Przywykły do interwiewów dziennikarskich, nabrał dziennikarskiej frazeologii i nawet z kuzynem mówił, jak z dziennikarzem. Pomimo to niesympatycznym mi nie był).

— A także potrafiłem — ciągnął dalej — zdobywać orkiestralne efekty. Nie starałem się być Wagnerem. Dość mi na tem, że jestem Sullivanem Smith. I pozwól sobie powiedzieć, mój chłopcze, że to dopiero pięć lat temu wystawiono „Japońskiego Kota“, a ja mam dopiero lat dwadzieścia siedm! A czy jest dziś kto, ktoby mnie nie znał?

Wsparł się łokciami o onyksowy stoliczek.

— Między nami mówiąc, powiem ci, jak bratu, że zarobiłem siedm tysięcy funtów w roku zeszłym, a połowę tego wydałem. Przejadam połowę moich dochodów; tak zawsze robiłem i tak zawsze robić będę. Dobra zasada! Ja się znam na interesach, tak, Karolu Foster! Dawaj publiczności to, czego ona żąda, a połowę dochodów swoich chowaj, tak brzmi moja recepta. Spojrzyj na mnie. Wypada mi grać rolę książątka; to popłaca, a więc ją gram... Dostaję za moje totografie po dwa pensy premii od sztuki... Do tego, mój chłopcze, to już ty nigdy nie dojdziesz, choćbyś był najznakomitszym w świecie doktorem!

Roześmiał się.

— Ale, ale, co porabia Dżim? Czy zawsze jeszcze praktykuje w Totnes?

— Tak jest — odrzekłem.

— I dobrze mu idzie?

— Tak sobie... Tak sobie. Widzisz, my bo nie mamy po siedm tysięcy, ale po pięćset każdy z nas, a Dżima więcej bawi polowanie, niż medykowanie. Namawia mnie, bym przystąpił z nim do spółki. Ale ja sam nie wiem...

— Ambitny jesteś, co? tak jak i ja niegdyś. Stopień doktorski uzyskałeś w Edynburgu?

Skinąłem głową.

— A siostra twoja, Liliana?

— Gospodaruje u Dżima.

— Ładna dziewczyna, prawda?

— Tak, wcale niebrzydka. I dobrze śpiewa w dodatku.

— Więc wy tam uprawiacie muzykę?

— I jak jeszcze! — odpowiedziałem. — To znaczy, przedewszystkiem Liliana, no i ja też, gdy jestem z nią razem. Przepadamy za muzyką oboje. Zawziąłem się, żeby usłyszeć Rozettę Rozę dzisiaj w Lohengrinie, ale nie można było dostać ani jednego krzesła. Chyba, że postaram się jakoś wcisnąć na galeryę...

— Nie, nie wciśniesz się tam — przerwał Sullivan stanowczo. — Ja dostałem lożę. Znajdzie się w niej krzesło dla ciebie. Poznasz moją żonę. Mnie bo nawet by się nie śniło pójść... Wagner mnie nudzi, choć muszę przyznać, że coś niecoś skorzystałem od niego. Ale gdyśmy posłyszeli, jak się wszyscy rozbijają o miejsca, przyszło na myśl Emmelinie, że i nam też pójść wypada; ja zaś, o ile się da, nie lubię się jej sprzeciwiać. To też zwróciłem się do Smart'a i dał nam lożę.

— Z największą przyjemnością przyjmuję — od-

rzekłem. — Myślę, że jest jeden tylko Smart? Czy mówisz o Sir Cyrylu Smart?

— O nim właśnie, mój drogi. O dyrektorze opery, dyrektorze teatrów Diana, Folly, Ottoman... Jeżeli kto ma podpis jego na czekach, to chyba ja. Ja przez niego wyrosłem, to ci powiem, ale i on także przezemnie. Dziwny to jest człowiek! Przez niego poznałem się z moją żoną. Czyś ty kiedy widział Emmelinę, gdy jeszcze była Sissy Vosc?

— Niestety, nie!

— Toś stracił prawdziwą ucztę, stary. Niezrównaną była w rolach młodych chłopców w sztukach *burlesque*... To, co się zowie, piękna kobieta, choć ja to mówię, piękna kobieta!

Zamyślił się na chwilę.

— Ona się oddaje spirytyzmowi... Wolałbym, by chciała dać temu pokój. Spirytyzm źle działa na jej nerwy. Ja sam w to się nie wdaję, ale ona tem żyje. I to w niej rodzi różne przywidzenia. Wbiła sobie naprzykład do głowy jakieś głupstwo... nie mów jej czasem, że ja ci o tem wspominałem, Karolku... dotyczące Rozetty Rozy. Twierdzi, że ją prześladuje nieszczęście, Rozę mianowicie. Chciała, żebym przestrzegł Smarta przed zaangażowaniem jej. Ja! wyobraź to sobie! Ja miałbym... Tymczasam Roza zapewni świetne powodzenie sezonu operowego... Mówił mi Smart, że ogromną gażę jej płaci.

— To tak ładnie z twojej strony, że mi ofiarowałeś krzesło! — zacząłem mu dziękować.

— Co tam! — uśmiechnął się.— Przecież mnie to nic nie kosztuje.

Zegar zcicha zaczął bić.

— Nieba! A toż to wpół do dwunastej, a ja o dwunastej muszę być w Dianie. Bo widzisz, mamy tam próbę.

Wyszliśmy z klubu, trzymając się pod ramię, Sullivan z monoklem w ręku.

— Zatem przyjdziesz dziś wieczór, tak? Pytaj o moją lożę. Zobaczysz, że już cię tam zaprowadzą. Więc do bliskiego widzenia!

Oddalił się.

— Chciałem ci jeszcze powiedzieć — zawołał, zawracając szpiesznie i zniżając głos — żebyś, gdy zapoznasz się z moją żoną, nie wspominał czasami o jej teatralnej karyerze. Ona tego nie lubi. Teraz jest wielką panią. Rozumiesz mnie?

— Ależ naturalnie! — odpowiedziałem.

Uderzył mnie po ramieniu i poszedł.

Łatwo jest śmiać się z Sullivana. Widziałem to już wtedy, widzę to i teraz. A jednak z naciskiem powtarzam, że to był kochany człowiek. Nie miał on wprost nic wspólnego z moją niesłychaną przygodą, ale bez niego nie byłoby do niej przyszło. To też wspomniałem o nim na początku mojego opowiadania.

Rozdział II.

Na przedstawieniu opery.

Trochę niespokojny, nerwowo wymieniłem nazwisko Sullivana temu panu, który odbierał bilety, a który był o wiele wspanialszem wydaniem subjekta z kasy zamawiań. Jednakże Sullivan nie przesadzał, mówiąc o swojem znaczeniu. Zaraz się mną wszyscy zajęli. A zajęli się mną tak gorliwie i z taką czołobitnością, że nie dziw, gdybym pomyślał, że mylą się i że biorą mnie za szacha perskiego przebranego, *incognito*.

Wprowadzono mnie do loży Sullivana z wielkim ceremoniałem. Loża była pusta. Naturalnie, stawiłem się pierwszy. Siadłem i przyglądałem się, jak się ogromny teatr zapełnia, wpierw spojrzawszy w lustro, na karmazynowej ściance loży umieszczone, chcąc przekonać się, czy wyglądem moim nie zdyskredytuję Sullivana i żony jego, wielkiej światowej damy.

O ósmej, gdy kapelmistrz ukazał się przed pulpitem, widownia była już prawie zapełniona. Od lóż bił blask brylantów, jedwabi, białych szyj i ramion, walczący o lepsze z blaskiem wielkiego kryształowego pająka. Podniecenie unosiło się w powietrzu: oczekiwanie ujrzenia znowu Rosetty Rozy, tej wróżki o złotem gardziołku, tej młodej dziewczyny, która dwa lata temu, przez krótki nieszczęsny pobyt podbiła sobie Londyn, a teraz, po okresie dąsów, postanowiła zdobyć go na nowo.

W zwyczajne dni przedstawień pójście na operę jest zwykłym towarzyskim obowiązkiem, wystawą biżuteryi, czemś pomiędzy przyjęciem a rozmową ze znajomymi, przy dźwięku muzyki z oddali. Ale dzisiaj stali goście nie taili szczerego zainteresowania do samej sceny, porzucając na ten raz własną swą rolę aktorów. Ileż ja razy od tego czasu bylem na operze, a nigdy nie byłem świadkiem tak szczerego entuzyazmu. O ile Londyn potrafi być naiwnym i szczerym, o tyle naiwnym i szczerym był dnia tego.

Kapelmistrz podniósł batutę. Strojenie instrumentów w orkiestrze ustało. Przyćmiono światła. Wśród audytoryum zapanowało milczenie i cisza. Skrzypce westchnęły pierwszymi drżącymi tonami uwertury.

Dla mnie tam w tej chwili nie istniało nic, poza rozkoszną muzyką, której oddawałem się, jak sennej ponęcie. Lecz to nie długo trwało. Właśnie, gdy się podnosiła kurtyna, drzwi za mymi plecami skrzypnęły i wszedł Sullivan w całej swej okazałości. Zerwałem się. Opartą o jego ramię dojrzałem w półcieniu wysoką, bladą, oliwkowej cery kobietę, o wielkich przystojnych rysach i ogromnych, przejrzystych, czarnych oczach. Miała na sobie białą suknię i na ramiona narzucony wspaniały, purpurowozłocisty płaszcz.



Był to zadziwiająco elegancki zaprzęg.

— Emmelino, przedstawiam ci Karola — szepnął Sullivan.

Uśmiechnęła się słabo, podając mi czubki palców, a potem nagle przystąpiła o krok bliżej, jak gdyby chcąc się lepiej mej twarzy przypatrzeć. Dziwne jej oczy spotkały się z moimi. Wydała jakieś lekkie, nieokreślone westchnienie i opadając na krzesło szybko puściła moją rękę. Właściwie mógłbym powiedzieć, że odrzuciła moją rękę, jak gdyby to był ogon węża, który chwyciła przypadkiem, zamiast czego innego. Ale i to nie określiłoby dobrze tego, czem właściwie był jej ruch. Było w tem jej zachowaniu się coś dziwacznego — ale tak lekki był to odcień, że nie byłem zupełnie pewny, czy mi się to wszystko poprostu nie przywidziało.

— Żona jest trochę zdenerwowana — szepnął mi Sullivan do ucha. — Oj nerwy, nerwy! Ale to już tak z kobietami. Zobaczysz, gdy się ożenisz. Nie zważaj na to. Wnet przyjdzie do siebie.

Skinąłem głową i siadłem. Za chwilę znów muzyka porwała mnie swoim czarem.

Nigdy nie zapomnę pierwszego wrażenia, jakie na mnie uczynił widok Rozetty Rozy. Ubrana skromnie, jak w roli Elzy wypada, ukazała się na scenie, by odpowiedzieć na oskarżenia Ortrudy. Wahając się, zatrzymała się przez chwilę w głębi sceny, a potem nieśmiało, ale z jakąż godnością, przystąpiła przed królewski tron. Pojąłem wtedy od jednego spojrzenia, że czar jej i jej uroda są z rzędu tych, które podbijają serca mężczyzn bezwzględnie, nieprzeparcie, budząc uwielbienie i uczucie pragnienia zarazem. Gra jej znakomicie oddawała prostotę Elzy. Pomimo to, rozpatrując się w twarzy jej przez lornetkę, którą mi pani Sullivan podsunęła, odgadywałem poza artystką, pieszczone dziecię Szczęścia, które w samej wiośnie życia zaznało radości najwyższej potęgi, tej władzy nad ludźmi, którą piękność jedynie dać może.

Twarz taka, jak jej, raz widziana, pozostaje na całe życie w pamięci. A jednak, gdy z liryzmem i ekstazą zaintonowała pierwsze słowa wstępnej swojej aryi „In lichter Waffen Scheine“, zapominało się momentalnie o twarzy. Upajało się głosem tylko — czystym, cudownym, ujarzmiającym głosem; zdawało się, że słuchacze wszyscy wstrzymują oddech, podczas gdy ich czarem swoim oplątuje nieskazitelnej czystości melodya.

. . . .

Skończył się pierwszy akt i Rozetta Roza, trzymając rękę Alreski-Lohengrina, wyszła przed rampę, dziękując ukłonem za grzmiącą burzę oklasków. Jeżeli dotąd nie wspomniałem o Alresce, to dowód tylko, jak bezwzględnie Roza zapanowała na scenie. Bo czem Roza jako sopran, tem między tenorami był Alreska — nieporównaną gwiazdą. Bez żadnej innej pomocy Alreska wystarczał, by salę opery zapełniać; czyż zresztą nie płacono mu po dwieście pięćdziesiąt funtów za występ? Dawać jego w tej samej seryi, co Rozę, był to jeden z hojnych a rozrzutnych kaprysów Cyryla Smarta.

Gdy teraz oboje stali obok siebie, Roza uśmiechnęła się do niego, on zaś nieśmiało spojrzał na nią i odwrócił oczy.

Skoro umikły oklaski i kurtyna zapadła, z westchnieniem wyczerpania i błogości zwróciłem się ku mojej sąsiadce; zdziwiłem się, nie widząc na jej twarzy ani śladu tego nerwowego podniecenia, które zauważyłem przy wejściu jej do loży. Siedziała, wybornie naśladując światową damę, nieporuszona, niedbale oparta, nibyto trochę znudzona, lecz dobrze świadoma, że znakomicie odgrywa swą rolę.

— To prawdziwie miło patrzeć, gdy ktoś tak się czemś przejmuje, jak pan się przejmuje muzyką — rzekła.

— Taka to już nasza rodzinna wada, pani Smith — odrzekłem zarumieniony, wstydząc się tej naiwności, która jej się podobała.

— Proszę mnie nie nazywać panią Smith; proszę mi mówić Emmelino, skoro przecież jesteśmy spokrewnieni. Nie byłoby mi wcale miło, gdybym ci nie mogła mówić „Karolu“. Karol to także ładne imię i tak dobrze do ciebie dobrane. Powiedz, czy nieprawda, Sully?

— Prawda, kochanie — odpowiedział Sullivan od niechcenia. — Siedział w głębi loży i widocznie życzył sobie dobrodusznie dać mi sposobność porozmawiania sam na sam ze swoją piękną a smętną żoną. Niestety! ja tak mało miałem wprawy w podtrzymywaniu rozmowy sam na sam z pięknemi a smętnemi paniami...

Po chwili Sullivan powstał.

— Muszę odszukać Smarta — rzekł i opuścił nas.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Uroczystości polskie w Ameryce.

(Do illustracyi na stronie 4).

Polonia w Ameryce przeżyła szereg podniosłych, przepięknych, uroczystych dni, poświęconych pamięci dwu wielkich naszych bohaterów narodowych, T. Kościuszki i K. Pułaskiego. A pamięć tych wielkich naszych mężów uczcili nietylko Rodacy, mieszkający w Ameryce, lecz i Amerykanie i przedstawiciele ich rządu, z prezydentem Stanów Zjednoczonych, Taftem, na czele.

Uroczystości polskie odbyły się w Waszyngtonie z powodu odsłonięcia pomnika Pułaskiego i Kościuszki, z których pierwszy stanął kosztem wyłącznie rządu, a został wykonany przez znanego artystę-malarza K. Chodzińskiego; pomnik Kościuszki, dłuta prof. A. Popiela ze Lwowa, wystawili Polacy amerykańscy.

Odsłonięcie obu pomników odbyło się w dniu 11 maja, a ceromoniami, z tem połączonemi, kierował osobiście minister wojny Dickinson.

Naprzód odsłonięto pomnik Pułaskiego, wobec najwyższych dygnitarzy Stanów Zjednoczonych, najwybitniejszych Polaków, w Ameryce przebywających, oraz delegatów z ziem polskich w Europie. Przy pomniku tym wygłoszono mowy wyłącznie angielskie, a przemawiali: minister wojny Dickinson, biskup Rhode, obywatel Smulski, prezydent Taft i przedstawiciel rodziny Pułaskich. Po przemówieniach i odsłonięciu pomnika, który przedstawia się bardzo okazale i wywiera jak najlepsze wrażenie, odbyła się rewia wojskowa. Przemarsz oddziałów armii przed pomnikiem, trwał przeszło godzinę, zwłaszcza że do milicyi przyłączyły się polskie oddziały wojskowe i Sokolstwo amerykańskie, pod komendą dr. Kutlewskiego z Chicago.

Następnie dokonano odsłonięcia pomnika Kościuszki, a podczas uroczystości tej przemawiali po angielsku: p. A. Schreiber, prezes komitetu budowy pomnika i cenzor związku narodowego polskiego, po polsku zaś: p. M. Steczyński i T. Heliński.

Zakończeniem uroczystości był bankiet, dany przez Polonię amerykańską na cześć gości, przedewszystkiem delegatów z ziem polskich. Między tymi ostatnimi byli: delegat miasta Krakowa dr. A. Doboszyński, delegaci miasta Lwowa dr. Lisiewicz i dyrektor Majerski, dalej dr. Witold Lewicki, poseł inżynier Skołyszewski, mecenas Kułakowski z Warszawy i w. i.

Następnego dnia po uroczystościach z powodu odsłonięcia pomników Pułaskiego i Kościuszki, rozpoczęły się obrady kongresu polskiego, zwołanego przez polski Związek narodowy, liczący obecnie blisko 100.000 członków.

Obrady kongresu trwały prawie pełne trzy dni, pod przewodnictwem p. Sypniewskiego, adwokata z Pittsburgu, a przy udziale wszystkich delegatów z Europy. Uczestnicy kongresu podzielili się na trzy sekcye: polityczną, ekonomiczną i oświatową. Każda z tych sekcyi obradowała nad przedstawionymi sobie referatami i rezolucyami, które następnie plenarny kongres uchwalił.

Uroczystości polskie i kongres wypadły bardzo pięknie i przyczyniły się do podniesienia ducha narodowego wśród Polaków amerykańskibh.



Cesarz w anektowanych prowincyach: Pałac generała Vareszanina w Serajewie, gdzie zamieszkał cesarz Franciszek Józef.



Cesarz w anektowanych prowincyach: Naczelnik kraju, generał Vareszanin w podróży inspekcyjnej przed odwiedzinami cesarza.

Majówka góralska.

Majówki, urządzane w czasie wiosennym, stanowią dla ludzi pracy jedną z najprzyjemniejszych i najzdrowszych rozrywek. Połączone z zabawami ludowemi i popisami gimnastycznymi młodych uczestników, są dla nich podnietą do ćwiczeń ciała i wprowadzania w czyn zasady: „W zdrowem ciele — zdrowy duch“.

„Związek Górali“ w Zakopanem, rozwijający się coraz piękniej pod przewodnictwem ruchliwego i energicznego prezesa p. Pawlicy, urządził w ostatnią niedzielę maja majówkę dla swych członków i gości, która się odbyła na Bojówce pod Strążyskami, na polanie, oddanej na ten cel bezinteresownie przez p. Pawlicę.

Na tle wspaniałych Regli, okrytych już w tym czasie bujną zielenią, w przeczystem i balsamicznem powietrzu, w otoczeniu lasów, przy pięknej pogodzie, zebrało się około 500 uczestników majówki. Obfity program wypełniły zabawy ludowe, łapanie Janosika i zbojników w Tatrach, ściganie komety Halleya balonami i aeroplanem, udałe, jednak bezskuteczne, a wkońcu powrót przy dźwiękach muzyki i pochodniach do Zakopanego. Zabawa pozostanie w miłej pamięci uczestników.



Cesarz w anektowanych prowincyach: Wnętrze pracowni dywanów i strojów narodowych w Serajewie.

Kronika tygodniowa.

(Po przejściu komety. — Wpływ komety na lwowskiego referenta komisyi teatralnej. — Kulejące sprawozdania galicyjskie. — Alluzya do JW. PP. Posłów. — Nowy wybryk Ukraińców. — Co my na to? — Nietakt, czy prowokacya? — Czyrak cesarza Wilhelma. — Klapa Bethmanna-Hollwega. — W obronie światowego pokoju. — Austrya bez budżetu. — Biliński w opałach. — Wydzierżawienie kolei. — Bojkot kolejowy w Szwajcaryi. — O uniwersytety. — Wybory na Węgrzech).

Właściwie powinienbym dać już spokój komecie, choćby tylko z tej racyi, że podobno obeszła się z nami dość łaskawie. Już jej nie widać na nieboskłonie, astronomowie odetchnęli, a jednak przecież dopiero teraz widzimy jasno, że miała ona skutki i do tego fatalne, przynajmniej dla poszczególnych osobników. Nie wiem, jak Bogu dziękować, iż była bez ogona, gdyż aż włosy stają mi na głowie, gdy człowiek pomyśli, coby się to mogło było stać, gdyby była miała jeszcze i ogon!

Aby nie obrazić naszej c. k. stolicy, która i tak na Kraków patrzy krzywem okiem, podejrzywając nas (może i słusznie), że chcemy jej wydrzeć berło, zacznę od Lwowa. Że kometa tam była, nie ulega żadnej kwestyi, panu Pieleckiemu udało się bowiem złapać ją na papier, czem się znowu żaden Krakowianin nie może poszczycić. Ale też zjawienie się jej nad Pełtwią nie pozostało bez ujemnego wpływu, choćby tylko wziąć pod uwagę sprawozdanie fachowe członka lwowskiej komisyi teatralnej, przedłożone Radzie miejskiej. Najwidoczniejszy tu wpływ gazów trujących, zawartych w ogonie komety, o których już Flammarion twierdził, że w ich atmosferze będą ludzie lekko bzikować. Inaczej nie mogę sobie wytłómaczyć owego elaboratu, którego nie powstydziłby się absolwent trzeciej klasy gimnazyalnej i to nie otrzymujący promocyi do klasy wyższej. Chyba, że pan referent chciał sobie zakpić ze swych kolegów, albo popróbować, czy oni przecież biorą udział w życiu umysłowem. Taki majstersztyk krytykowania, powinien zostać na wieczną rzeczy pamiątkę spisany złotemi głoskami na pergaminie, choćby nawet ściągniętym z pleców referenta i przechowanym głęboko, aby go oko ludzkie przypadkiem nie ujrzało.

Niestety, przyznać musimy, że Galicya nie ma szczęścia do sprawozdań, bo proszę sobie tylko przypomnieć zeszłoroczny wywód również fachowego referenta przemysłu krajowego, który twierdził zupełnie stanowczo o pewnej fabryce konserw, iż już oddawna nie istnieje, gdy tymczasem ona wiodła, przynajmniej jak na Galicyę, wcale ruchliwy i pracowity żywot.

Jeśli nie ma być takim sprawozdawca, jak dwaj wyżej wymienieni, lepiej dać sobie spokój z reformowaniem opinii publicznej. Tego samego zdania są o ile mi się zdaje po większej części nasi panowie posłowie, którzy ani rusz nie mają ochoty stanąć przed wyborcami, aby ich poinformować, co się dzieje w parlamencie. Dość będzie na to czasu przy końcu kadencyi, gdy trzeba się będzie starać o względy wyborców, aby nadal wyjść z urny...

Wpływami owych rozweselających gazów z komecie
meciego ogona tłómaczyć sobie należy także bohaterski postępek młodocianych Ukraińców z Tarnopola, którzy kochanych Lachów postanowili rozruszać nawet i po śmierci i poburzyli ich groby, zajęte nieprawnie na ruskiej (!?) ziemi. Miałem to wyjątkowe, a przyzna mi każdy, wątpliwe szczęście, że jakiś czas przebywałem z tamtej strony Sanu, między kochanymi naszymi braćmi stryjecznymi, uznałem jednak za słuszne ich prawa do wschodnio-galicyjskiej ziemi i, aby im miejsca nie zabierać, przeniosłem się na Zachód, aby tu złożyć swe kości. Przy tej sposobności poznałem jednak ten ogrom uczucia, jakiem nas na każdym kroku darzą, a zarazem naszą baranią uległość, z jaką znosimy wszystkie ciosy, jakie nas spotykają z ich ręki. Niech się nikt nie łudzi, że Ukrainiec będzie kiedykolwiek bratem Polaka, nienawiść bowiem do wszystkiego, co „lackie“, wszczepia się tam od pierwszych chwil młodości w domu, szkole i kościele! Dodajmy do tego, iż narzekający na uciemiężenie mołojcy są jedną ze strony rządu najbardziej uprzywilejowanymi, a będziemy mieć miarę sprawiedliwości, z jaką traktuje się nas i ich.

A mimo to znajdują się nawet i między nami osobniki, które narzekają, że przecież Rusinom dzieje się krzywda, a owe hajdamackie wybryki, jak np. zajście w Tarnopolu, uważają tylko za reakcyę, gdy tymczasem jest to tylko sztubakerya, którą powinna spotkać zasłużona kara. Niema dnia, ani godziny, aby ze strony galicyjskich Ukraińców nie spotkała nas jakaś przyjemność, z której Berlin się cieszy i aż zaciera ręce!

Wprawdzie „Tyrolczycy wschodu“ znalazłszy się pomiędzy nami na zachodzie, chowają zręcznie pazurki i przybierają słodką a pobożną minkę, jednak tylko dopóty, dopóki nie osiągną swego celu. Konstatujemy fakt, że Rusini coraz częściej i chętniej przenoszą się na Zachód i tu szukają zajęcia, a znajdują je prędzej, niż nawet miejscowi, bo przecież nie możemy się narażać na to, aby ktoś powiedział, że spostponowaliśmy brata Rusina, który chciał się do nas przytulić! Jakże oni postępują inaczej wobec nas we wschodniej Galicyi! Gdy Polak zgłosi się o zajęcie, mają na ustach stereotypową odpowiedź: My mamy chleb dla swoich! Wracaj za San między Lachów!

Warto się zastanowić, czy i my nie powinniśmy trzymać się tej samej polityki! Być może, że z czasem przyjdzie otrzeźwienie, ale wtedy będzie już za późno, bracia z za Sanu tak nas wezmą za łeb, że sobie rady nie damy, a mamy świeżo dowód, że oni nie darują ani żywym, ani umarłym!

Wobec Słowiańszczyzny przedstawiają się Ukraińcy, jako prześladowani niesłychanie przez Polaków i nie zaniedbują żadnej sposobności, aby to głośno zamanifestować. A sposobności takich nie braknie! Siczownicy odbywają swój zjazd w Stanisławowie, gdzie przemieszkuje, acz niedobrowolnie, ich narodowy bohater, Siczyński, zaraz też zapowiadają swe przybycie na tę uroczystość Czesi, Chorwaci i Słoweńcy. Przy tej okazyi postarają się Ukraińcy, aby wpoić w gości przekonanie, że wschodnia część Galicyi jest ruską, gdzie Polacy są tylko tolerowani, jako *malum necessarium*. Stąd udadzą się goście na Bukowinę, aby być obecnymi na poświęceniu krajowego sztandaru „Siczy“, a wreszcie zawadzą i o Lwów, aby zwiedzić ukraińskie instytucye i wykąpać się w narodowej Pełtwi.

Bardzo słusznie nazywa jedno z pism krakowskich tę manifestacyę: Nietakt, czy prowokacya? i konkluduje, że przyjeżdżają bracia Słowianie, by uświetnić swą obecnością zebrania największych wrogów Słowiańszczyzny, obrońców centralizmu, stałych sojuszników prusactwa i najobrzydliwszych przeciwników polskiego narodu.

Nie ma się jednak i czemu dziwić! Prasa ruska wszelkich odcieni idzie bij zabij na Polaków, przedstawiając ich w oczach Europy w najczarniejszych kolorach, a my z kurtuazyi na to prawie nie reagujemy, więc też opinia publiczna ma zupełnie fałszywe pojęcie o naszym wzajemnym stosunku.

Podnoszenie głowy przez hajdamacką Ukrainę jest wodą na młyn Prusaków, którzy starają się przy użyciu wszelkich możliwych środków o jak największe zagmatwanie Polaków w spór narodowościowy z Rusią, a na każdą wiadomość o jej tryumfie Wiluś aż zaciera ręce z radości. I dziś uczyniłby to samo, niestety nie może, jakaś bowiem złośliwa mucha poważyła się ugryźć go w dostojną rękę. Inni powiadają, że jest to zwykły ordynarny czyrak, który jednak wyrósł na niewłaściwem miejscu, powinien był bowiem ulokować się na języku, jeśli jest prawdą, co powiada mędrzec Pański, że „czem kto wojuje, od tego ginie!“ Z tego powodu następca tronu upoważniony został do podpisywania w zastępstwie ojca aktów państwowych, wygłaszanie zaś mów uroczystych zastrzegł cesarz dla siebie, w tem go bowiem nikt zastąpić nie potrafi.

Być może, że na pogorszenie zdrowia cesarskiego wpłynęła wiadomość, że pan Bethmann-Hollweg zrobił w sejmie pruskim gwałtowną klapę ze swą reformą wyborczą, choć bowiem sfery rządzące robią dobrą minę i powiadają, że nic im to nie szkodzi, widoczna przecież, że niepowodzenie pana kanclerza boleśnie je dotknęło.

Zaprzeczają także oficyalnie, iż cesarz z okazyi pobytu w Londynie nie poruszał wcale sprawy koalicyi państw europejskich, mającej zabezpieczyć światowy pokój, Prusy bowiem rozumieją tylko taki związek, na czele którego stałyby one, a na to znów reszta Europy stanowczo się nie zgodzi.

Biedny ten pokój światowy przypomina pacyenta, leżącego na łożu boleści, przy którym zasiedli różni eskulapowie i radzą, jak mu dogodzić, aby już nie wstał. Pacyent się poci, oni ciągle radzą i nie mogą się zgodzić, co mu właściwie pomoże, chinina, czy morfina, aż wreszcie nie dochodzą do porozumienia, gdyż tymczasem chory, nie mogąc się doczekać rezultatu narad, przenosi się na łono Abrahama.

Tak samo dzieje się i z owym pokojem, którego najwięksi poplecznicy w myśl starego zdania *si vis pacem, para bellum*, wysilają głowy, aby jak najwięcej pieniędzy obrócić na nowe inwestycye wojskowe, jeśli bowiem narody wysilą się finansowo, stracą wojownicze usposobienia, ergo pokój będzie zapewniony. W tej myśli i pan Biliński popiera żądania pana ministra wojny, który chciałby z Austryi zrobić pierwszorzędną potęgę morską, jeśli bowiem taki mizerny Kraków mógł się zdobyć na dwa akcyzowe torpedowce, dlaczegóż i Austrya, której budżet zamyka się także regularnie deficytem, nie miałaby się postarać o dreadnoughty, zwłaszcza, że Wiluś tak poradził? Komisya budżetowa radzi więc w pocie czoła, niestety jednak sprawdza się przysłowie, że z pustego i Salomon nie naleje!

Jak dotąd budżetu państwowego niema i jest nadzieja, że Rada państwa gotowa go przed wakacyami nie uchwalić, trzeba będzie więc myśleć bodaj o uchwaleniu prowizoryum na drugie półrocze, aby maszyna nie stanęła. Przy sposobności obrad skonstatowano, że prezydent gabinetu Bienerth ma coraz więcej zwolenników w parlamencie, minister finansów zaś coraz mniej, bo wogóle nie dorósł do swego stanowiska. Każdy uważa się za lepszego lekarza, przeznaczonego do uzdrowienia austryackich finansów i daje rady, a minister tylko słucha. Koło polskie wypowiedziało już swe zdanie, wypowiedział je także poseł Urban, zrobili więc to, co należało właściwie do ministra.

Najdziwaczniejszym ze wszystkich projektów, jakie zrodziły się w głowach naszych polityków, jest propozycya oddania kolei państwowych w dzierżawę prywatnemu przedsiębiorstwu, gdyż w zarządzie obecnym przynoszą tylko deficyt. Rząd tak długo zwlekał z upaństwowieniem, aż nareszcie otrzymał wygniecioną cytrynę, w której nic już soku nie zostało.

Boję się, aby to samo nie miało miejsca przy sposobności umiastowienia krakowskiego tramwaju. Gdy miasto zgodzi się wreszcie na wykupno, więcej poniesie szkody, niż korzyści, a to dlatego, iż o czem innem się myślało, gdy była właśnie pora odpowiednia, aby się postarać o objęcie go w zarząd miasta. Ale u nas zawsze się dzieje jednako, wszak mamy własne przysłowie: „Mądry Polak po szkodzie!

Bezpośredniem naturalnie następstwem oddania nas na pastwę prywatnym spekulantom, którzy nie zaniedbaliby sposobności, aby się należycie obłowić z okazyi wydzierżawienia kolei, byłoby podwyższenie cen jazdy i frachtu, które i tak są już u nas wyśróbowane do niemożliwości. Wątpić zaś należy, czybyśmy się potrafili zdobyć na taką odwagę, jak mieszkańcy okolic Bazylei, którzy zbojkotowali kolej podmiejską, gdy tylko ceny podniosła. Ludność okoliczna używa obecnie wózków, jakich dostarcza gmina, lub chodzi piechotą, a zarządowi kolei zmiękła rura i już od pierwszego czerwca obiecał zniżyć ceny.

We Wiedniu rozbijają sobie politycy głowy (przepraszam za to obrazowe wyrażenie) nad kwestyą uniwersytetów, Rusini bowiem domagają się gwałtownie własnej wszechnicy, gdyż posiadają już odpowiednią ilość kandydatów na docentów i profesorów, a i Włosi czekają na spełnienie danego im przyrzeczenia, że powstanie w Austryi fakultet prawniczy z włoskim językiem wykładowym. Słaby oddźwięk pertraktacyi wiedeńskich mieliśmy we Lwowie, gdzie młodzież narodowo demokratyczna broniła murów uniwersytetu, obawiając się napadu rozwydrzonej przez swych prowodyrów hajdamaczyzny. Skończyło się na niczem.

W najbliższem naszem sąsiedztwie, tj. na Węgrzech bardzo wesoło, odbywają się bowiem wybory, przy których musi zwyciężyć partya rządowa. Kiełbasy wyborczej podobno tam nie znają, natomiast wielkim popytem cieszy się gulasz wyborczy i wyborcza słonina paprykowana, podlewane obficie śliwowicą i prawdziwym węgrzynem. Jako dowód, że w obu połowach monarchii odbywają się wybory w jeden i ten sam sposób, może posłużyć fakt, że z całej Galicyi ściągnięto ogromne masy wojska na Węgry, a korespondent jednego z pism codziennych donosi, że dotąd, tj. do wtorku zabito dopiero dziesięcioro ludzi.

X.

Cesarz w anektowanych prowincyach.

W Bośni i Hercegowinie świąteczny panuje w tym tygodniu nastrój. W obręb ich granic zawitał bowiem sędziwy monarcha austryacki, cesarz Franciszek Józef, od roku jedyny władca i pan obu krain. Ośmdziesięcioletni starzec nie zląkł się trudów i niewygód dalekiej bardzo podróży, nie zląkł się ceremonialnych uroczystości, z odwiedzinami podwładnego kraju złączonych, lecz podążył tam wraz z swymi najwyższymi urzędnikami, aby pokazać światu a przedewszystkiem ludności Bośni i Hercegowiny, że akt aneksyi został ostatecznie dokonany i objęciem w fizyczne niejako posiadanie uzupełniony. Pragnął też sędziwy monarcha raz jeszcze zetknąć się bezpośrednio z ludnością obu tych krajów i stwierdzić, o ile w okresie ostatnich trzydziestu lat, od chwili okupacyi, kraje te posunęły się naprzód w swym rozwoju.



Cesarz w anektowanych prowincyach: Burmistrz Serajewa, Mahmed Effendi Kulovic.

Ludność obu krain wita cesarza Franciszka Józefa w szczerym, serdecznym nastroju, zdaje sobie bowiem jasno sprawę, że od chwili okupowania Bośni i Hercegowiny, a przedewszystkiem od chwili aneksyi i nadania konstytucyi, rozpoczęła się dla nich nowa era rozwoju.

W granicach Bośni stanął cesarz wczesnym rankiem w poniedziałek, w miejscowości Bośniacki Brod, gdzie powitał go naczelnik kraju, generał Vareszanin, komendant korpusu Aufenburg oraz burmistrz miasta Mahmed Hafid Hodzic. Ludność, tłumnie na dworcu zgromadzona, wznosiła entuzyastyczne okrzyki na cześć sędziwego władcy.

W orszaku cesarza znajdują się ministrowie Aerenthal, Burian i Schönaich, oraz baron Bienerth i hr. Kuen Hedervary.

Z Bośniackiego Brodu podążył cesarz wprost do stolicy Bośni, Serajewa, skąd po dwu dniach udać się ma do Mostaru.



Cesarz w anektowanych prowincyach: Widok ogólny meczetu Begowa w Serajewie.

Jubileusz znanego lekarza.

W bieżącym roku obchodzi dwudziestopięciolecie swej tak skutecznej pracy znany nasz lekarz-hydropata dr. Henryk Ebers. Krakowianin rodem, tu ukończył studya lekarskie, a po otrzymaniu dyplomu doktorskiego i pogłębieniu wiedzy swej zagranicą, oddał się na usługi cierpiącej ludzkości. Główną uwagę zwrócił dr. Ebers na hydroterapię, która za granicą doszła do wielkiego rozkwitu, u nas zaś, można powiedzieć, leżała odłogiem. Dziś zakład dra Ebersa w Krynicy, w którym dzięki zastosowaniu najnowszych zabiegów z zakresu hydroterapii, elektryzacyi i pokrewnych działów, tysiące ludzi odzyskało zdrowie, jest bezsprzecznie pierwszorzędnym, o europejskiej sławie, cieszy się też słusznie zasłużonem uznaniem. Zimowe miesiące, gdy nasz ostry klimat nie odpowiada zabiegom wodoleczniczym, spę-



Wzlot balonu we Lwowie: Grono przypatrującej się wzlotowi publiczności; między innymi namiestnik dr. Bobrzyński (X).



Wzlot balonu we Lwowie: Łódź balonu z pasażerami: inżynierami Libańskim i Richtmanem i porucznikiem Harnischem. Fot. Bahrynowicz i Stetkiewicz, Lwów.



Fot. M. Münz, Lwów.
Wzlot balonu we Lwowie: Balon „Awiata“ w chwili wzlotu z placu powystawowego.

dza dr. Ebers na Lido, gdzie w równie wzorowo urządzonym zakładzie gromadzi się mnóstwo szukających porady, między którymi Polacy stanowią zwykle większość.

I tak naprzemian w kraju i na południu pracuje dr. Ebers od lat dwudziestu pięciu dla dobra cierpiącej ludzkości. Przymioty jego jako lekarza i człowieka zjednały mu ogólną sympatyę, nic też dziwnego, że jubileusz zapowiada się wspaniale, a tysiące byłych pacyentów, którzy jubilatowi zawdzięczają zdrowie i życie, pospieszą z życzeniami, by długo jeszcze danem mu było tak skutecznie pracować i doczekać bodaj dyamentowego jubileuszu!

Nowy skandal we Francyi.

Jeszcze nie przebrzmiało echo sprawy Dueza, który tak pięknie likwidował na własną korzyść majątki kongregacyjne, gdy znów zajęła opinię publiczną siostra Candida, w życiu świeckiem Joanna Forestier.

Siostra Candida, licząca dziś 61 lat życia, była niegdyś zakonnicą w klasztorze św. Anny w Feugerolles i cieszyła się zaufaniem przełożonych, którzy powierzyli jej kierownictwo zakładu leczniczego w Valence d'Agen. Później założyła własny zakon sióstr miłosierdzia, któremu jednak władza kościelna odmówiła autoryzacyi. Przed piętnastu laty przybyła Candida z czterema towarzyszkami do Paryża, a z czasem potrafiła zyskać taką popularność, że nie było sfery społecznej, w którejby nie miała swych zwolenników i protektorów. Popierali ją republikanie, arystokraci, rojaliści, socyaliści, wiele osób, zajmujących najwyższe stanowiska w republice, pozostawało z nią w ścisłych stosunkach.



Fot. Bahrynowicz i Stetkiewicz Lwów.
Wzlot balonu we Lwowie: Inżynier Edmund Libański.

W r. 1897 założyła w Ormesson zakład dla dzieci gruźlicznych, z biegiem czasu powstał cały szereg publicznych instytucyj filantropijnych, które początek zawdzięczały dobroczynnej siostrze. Być może cele były szlachetne, droga jednak, po której do nich dążyła, pozostawiała wiele do życzenia. Candida brała pieniądze, skąd tylko mogła. Tworzyła zakłady dobroczynne jeden po drugim, pokrywając kapitałem następnego zakładu deficyt poprzedniego, grała na giełdzie, spekulowała na kupnie ziemi i domów, wreszcie brała w komisową sprzedaż klejnoty, które zastawiała. To ją zgubiło.

Bomba pękła z chwilą, gdy lekarz dr. Petit, który kierował sanatoryum w Ormesson i współdziałał w operacyach finansowych Candidy, popełnił samobójstwo. Komisya sądowa znalazła w jego mieszkaniu dwa pliki aktów. Na jednym był napis: „Dowody kradzieży“ — na drugim: „Dowody defraudacyi“. Samobójstwo było bezpośredniem następ-



Fot. Bahrynowicz i Stetkiewicz Lwów.
Wzlot balonu we Lwowie: Inżynier K. Richtman.



Majówka góralska: Członkowie „Związku górali“ z prezesem Pawlicą (X) przed wyruszeniem na majówkę.

pstwem doniesienia karnego, jakie poszkodowani jubilerzy wnieśli przeciw Candidzie do sądu.

Rozpoczęto dochodzenia, których rezultatem było aresztowanie oskarżonej. Jak się pokazało, długi jej dochodzą do ośmiu milionów franków, sprawa jednak, jak się zdaje, będzie umorzona, gdy tylko pokryte zostaną pretensye jubilerów, zbyt wiele bowiem osób, zajmujących wybitne stanowiska polityczne, zamieszanych ma być w tę sprawę.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 21.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: O. Górkowa Chyrów, J. Żychoń Sandomierz, M. Kalinowska Łódź, K. Grychowski Opoczno, W. Ossowski Sanok, J. Biliński Tarnopol, M. Balicki Janów, K. Radomski Kraków, J. Boczarski Sambor, W. Arzt Lwów, J. Biesiadecki Lwów, M Grońska Stanisławów, K. Jurkiewicz Jaworów, S. Liskowacki Grodno, W. Ostrowski Sandomierz, M. Sielecki Łódź, J. Barbacki Rzeszów, M. Wyka Rzeszów, K. Zachara Sambor, K. Aleksandrowicz Jabłonów, R. Czyżyński Jasło, K. Sikorski Radłów, A. Pankowski Kraków, M. Krawecka Rzeszów, K. Samlicki Bochnia, J. Trzeciak Krosno, K. Łopatyński Brzozów, H. Cieplik Sandomierz, J. Widuchowski Radomyśl, H. Łapiński Tarnobrzeg, K. Rosenbaum Rozwadów, J. Engelberg Dębica, K. Wang Krosno, J. Nowacki Janów, M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, B. Szpilczyńska Kraków, K. Grzymek Nowy Sącz, J. Badurkiewicz Jasło, W. Lechówna Kraków, A. Potocka Lwow, J. Lemański Warszawa, H. Orzechowski Łódź, S. Starowolski Lwów, W. Ostrowski Kraków, M. Cichocka Kraków, D. Silnicki Lwów, R. Bajdziński Sanok, J. Stępień Gorlice, J. Guzikowski Chrzanów, K. Baziak Lwów, S Ratyński Jaworów, K. Krupiński Stanisławów, M. Landesberg Rzeszów, J. Liebermann Kraków, S. Silbermann Kraków, K Gryziecki Czerniowce, M. Płazińska Jasło, S. Romańska Lwów, R. Gromadzki Przemyśl, K. Łapiński Łódź, H. Galiński Płock, J. Kamocki Radom, M. Świrska Sanok, K. Sielecki Tarnopol, S. Macielińska Lwów, J. Konopnicki Mława, R. Baliński Rozwadów, Z. Czarkowski Horodenka, K. Armatys Jordanów, M. Główski Sorocko, S. Serwatowski Odessa, E. Scholz Kraków, K. Werner Lwów, M. Gruber Kraków, S. Dreziński Warszawa, J. Sokalski Czerniowce, B. Czechowicz Tymbark, W. Hojecki Sokal, J. Chrzanowski Budapeszt, M. Ciesielska Złoczów, H. Zerygiewicz Krosno, J. Błahut Żywiec, M. Klimek Janów, K. Łodziński Lwów, J. Szybulski Brody, H. Orliński Podwołoczyska, K. Kaim Kraków, W. Lewicka Czarna, S. Faliszewski Baligród, E. Bogdalska Koropuż, J. Badura Rożdzień, W. Nowacki Chmielów, K. Fuchs Czeremchów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **K. Łopatyński Brzozów.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Szarada: Komety.

Szarada: Parostatek.

Zagadka przysłowiowa: Jeden do Sasa, drugi do Lasa.

Szarada: Legumina.

Zadanie do przestawienia: Czem skorupka za młodu nawrze tem na starość trąci.

Zadanie literackie:

Sezonowa miłość
Elżbieta Seton
Lili
Michał Kopeć
Anima vilis
Katarnik
Ad astra
Gody
Eros i Psyche
Rokiezana
Latorośle
Oazy
Figle k biet.

Trójkąt magiczny:

S a n d o m i e r z
A l b i g e n s i
N i e s z a w a
D a n i ł ó w
O l k u s z
M o t y l
I r b a
E ł k
R a
Z

Zadanie konikowe:

Bo na tym świecie,
Śmierć wszystko zmiecie,
Robak się lęgnie
I w bujnym kwiecie.



Fot. J. Jaworski, Zakopane.

Majówka góralska: Grono uczestników „majówki“ przed domem „Związku górali“.

Morderstwo we Lwowie.

Mimo znacznego bezsprzecznie postępu cywilizacyi i kultury wśród ogółu ludności naszych miast, zdarzają się jeszcze od czasu do czasu zbrodnie, świadczące o istnieniu wśród pewnych sfer niskich instynktów, o niewykorzenionem dotąd barbarzyństwie, drzemiącem pod łuską pozornej kultury wielkomiejskiej.

Jedną z takich zbrodni, to dokonany w nocy z soboty na niedzielę we Lwowie mord na osobie 26 letniego ślusarza Szymona Konieczkowskiego z Rzęsny polskiej. W krytycznym dniu wieczór szedł Konieczkowski ze swym znajomym robotnikiem Górskim ul. Janowską ku Rzęśnie, gdy nagle, już za rogatką, napadli na nich trzej rzezimieszki, znajomi ich obu, mianowicie murarz Pogorzelski, zawodowy złodziej Pryjma i jakiś trzeci, na razie niewyśledzony. Górski zdołał umknąć, Konieczkowskiego zaś dopadli owi trzej złoczyńcy i nożami na śmierć zakłuli.

Zawiadomiona niezwłocznie o zbrodni policya rozpoczęła dochodzenia i na podstawie opowiadań Górskiego zaaresztowała wnet dwu sprawców zbrodni, za trzecim zaś czyni poszukiwania.

Jakie były motywy strasznego czynu, nie wiadomo. Zdaje się, iż w grę wchodziła tu zemsta.



Morderstwo we Lwowie: Szymon Konieczkowski.

Głosy publiczne.

Cyrk Edison. Aby Publiczności umożliwić oglądanie wspaniałej uroczystości żałobnej w Londynie, z okazyi pogrzebu króla Edwarda VII. Dyrekcya „Cyrku Edison“ postanowiła dawać przedstawienia jeszcze przez 4 dni tj. do niedzieli dnia 5-go czerwca

W obrazie tym przesuwają się przed oczami widzów wszyscy królowie, książęta i dygnitarze, przybyli ze wszystkich stron Europy i z za oceanu na pogrzeb Króla Edwarda, oraz cały garnizon londyński i miliony ludzi, idących za konduktem.

Reszta programu składa się przeważnie ze zdjęć o treści pouczającej i humorystycznej.

Odpowiedzi Redakcyi.

WP. Jan Badura, Rożdzień: Umieścimy w swoim czasie. Obecnie mamy ogromny zapas zagadek jeszcze z ubiegłego roku.

WP. W. Nowacki, Chmielów: Niektóre umieścimy.

WP. E. Bogdalska, Koropuż: Rozwiązanie nadeszło już po zamknięciu numeru

WP. W. Badzianowska, Matyjowce: Owszem, umieścimy Prosimy jednak o cierpliwość!

WP. Mieczysław Cz. Pd.: Prosimy! I tamte umieścimy także.

Z półek księgarskich.

J. Schnuetzer: Teorya i konstrukcya aeroplanów z przedmową Dr. M. T. Hubera, profesora szkoły politechnicznej Lwów 1910. Nakładem księgarni L. Chmielewskiego, z drukarni I. Jaegera.

Pierwszy podręcznik naukowy, wydany w języku polskim, opracowany nader fachowo a przeznaczony dla zawodowych awiatorów i osób zajmujących się konstrukcyą aeroplanów. Treściwy przegląd historyczny wykazuje, z jakiemi trudnościami walczyli dotąd wynalazcy na tem polu, i podaje wskazówki, jakim powinien być aeroplan, aby odpowiadał celowi. Autor uwzględnia odnośną literaturę niemiecką, francuską i angielską i twierdzi, że z czasem i to w niedalekiej już przyszłości, wytworzy się nowy typ statków powietrznych, które urzeczywistnią wiekowe marzenia ludzkości o podboju powietrza Wówczas aeroplany, jako prymitywne przyrządy lotowe, zdobędą sobie zaszczytne miejsce .. w muzeum.

Broszura Grunwaldzka.

Wydział Tow. Gimn. „Sokół“ w Podgórzu powziął myśl trwalszego, niż przemijający Zlot i uroczysty obchód, upamiętnienia 500-letniej rocznicy grunwaldzkiej.

W tym celu, uproszony przez Wydział, członek Gniazda, napisał źródłową pracę, p. t. „Sława Polski“, obejmującą wypadki dziejowe od chwili sprowadzenia Krzyżaków do Polski, aż do ich największego pogromu.

Historya uczy nas żyć: a gdy z niej tak potężne przemawiają do nas czyny, godzi się, by i nasze życie narodowe potężniejszem teraz odezwało się tętnem. Niniejszy opis „Bitwy pod Grunwaldem“, tak bogatej w bohaterskie chwile, dodaje nam sił do znoszenia teraźniejszych katuszy i budzi nadzieję, że wkrótce będzie inaczej.

Taki jest cel broszury T. S, który Gniazdom Sokolim i Komitetom obchodowym jak najściślej poprzeć się godzi.

Zalecamy ją również Pp. prelegentom, jako rzecz nową, nieznaną, na wieczorki i poranki, jakie się niebawem odbywać będą.

Cena księgarska jednego egzemplarza 1 Kor. Gniazdom Sokolim, Komitetom obchodowym i Towarzystwu Szkoły Ludowej udziela Towarzystwo „Sokół“ przy większym odbiorze znacznego rabatu.

Zgłoszenia przyjmuje Towarzystwo Gimn. „Sokół“ w Podgórzu.

Podejrzany osobnik.

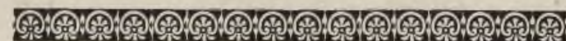
W Sądzie krajowym karnym we Lwowie znajduje się w areszcie śledczym pod zarzutem zbrodni



z § 96 u. k. (handel żywym towarem) Samuel Avram Schapira, rzekomo rodem ze Salonik, lat 34, mojżeszowego wyzn., elektrotechnik z zawodu. Wedle jego zapodań — wychował się on w Roschon Lecionen (w Palestynie) — poczem nauczywszy się elektrotechniki na okręcie angielskim, wyemigrował do Antwerpii względnie Brukseli, stamtąd udał się do Berlina, poczem wrócił do Salonik, skąd znów wyjechał do Belgradu na posadę elektrotechnika. W ciągu swych podróży zawitał do Orsowy a stamtąd do półn. Węgier, a w lipcu 1908 zjawił się w Czerniowcach. Tamże zwróciła policya na Samuela Schapirę uwagę i uwięziono go pod zarzutem handlu żywym towarem. W marcu 1910 wypłynął Samuel Schapira w Drohobyczu, gdzie usiłował nawiązać stosunki z Reginą Hassmann, rzekomo w celach małżeńskich.

Ponieważ zachodzi podejrzenie, że Samuel Schapira uwijał się po Galicyi i werbował pod pozorem małżeństwa dziewczęta, by je następnie wywieść na Wschód, przeto załączając podobiznę obwinionego Samuela Avrama Schapiry, uprasza c. k. Sąd P. T. Publiczność, aby na wypadek, gdyby ktokolwiek co do tożsamości osoby Schapiry lub też podejrzeń o handel żywym towarem miał pewne wiadomości, zechciał donieść o tem c. k. Sądowi kraj. karnemu, oddział VIII. we Lwowie.







Fryderyk Mauzens.

PARYSKIE GADY.

10

— Zapłacę, ile będzie potrzeba — przerwał wyniosłym tonem przybysz — lecz pragnę, by mi usłużył ten, kogo ja chcę!

Służący usunęli się. Bagotier schwycił z tryumfem kufer i poszedł za swoim protektorem, który wszedł już do biura hotelowego.

— Chcę dostać apartament — rzekł.

Obecny w biurze zarządzający hotelem zerwał się ze swego fotelu na przyjęcie tak ważnego gościa.

— Dobrze, proszę pana — odrzekł, kłaniając się z uszanowaniem.

— Czy ten, który zajmował ostatnio angielski następca tronu, jest wolny?

— Niestety, nie... Zamieszkał w nim od wczoraj ten właśnie pan...

Zarządzający wskazał na Joego Smitha, który w chwili tej przechodził przez westibul. Amerykanin powracał z ulicy Amsterdamskiej.

— Ach! To nieprzyjemne! — rzekł gość.

— Mamy inny, z którego król serbski był bardzo zadowolony...

Gość skrzywił twarz w lekceważący grymas.

— Wreszcie niech będzie i ten! — zgodził się.— Proszę zapisać w księdzę pana Karola Turnera, przemysłowca z Melbourne!

W chwilę potem bogaty cudzoziemiec znajdował się już w królewskim apartamencie.

— Proszę wyjść! rozkazał służącym, którzy mu towarzyszyli. — A ty, mój przyjacielu, pozostań!

Te ostatnie słowa skierowane były do bagotiera, który ustawiał kufer.

Służący wyszli.

— I cóż, mój stary Petard — przemówił podróżny odmiennym już głosem i najczystszym paryskim akcentem — ciągle jesteś bez grosza?

Wielkie, niebieskie oczy tragarza zaokrągliły się, a muskularne jego ręce opadły bezwładnie wzdłuż ciała.

— Panajon?... — szepnął. — To niemożliwe!...

— Tak, tak, mój drogi, to ja!

— To ci dopiero!... To ci dopiero!... — powtarzał zdumiony herkulesowy bagotier.

— Nie poznałeś mnie?

— Jakże miałem poznać! Wyrosłeś przynajmniej na pół łokcia...

— Oh! Tyle to nie! Włożyłem tylko do trzewików po talii kart!

— A postarzałeś się o dziesięć lat... gdym cię widział ostatni raz przed dziesięciu miesiącami...

— Ach! to jest rzecz, która mnie smuci... Żałuję mej pięknej młodości.

Panajon rozpinał swe futro. Bagotier, który zaczął się już oswajać z tą niespodzianką, zerknął na futro i kiwnął z zachwytem głową.

— Ciągle jesteś szczurem hotelowym? — zapytał.

— Nie... Zawód ten już nic nie wart... Za dużo miałem konkurentów... A przytem ja jestem artystą i kradzież tem więcej mi się uśmiecha i wabi, im mniej jest banalną... Wynalazłem w ostatnich czasach nowy, niezwykły sposób... Teraz właśnie przystąpiłem do działania... Wiedz o tem, mój stary, że masz dzisiaj przed sobą bogacza, Karola Turnera, fabrykanta czekolady z Melbourne!

— Melbourne? Jest to niewielkie miasteczko w okolicach Bordeaux?

— Mieszasz je z Libourne.

— Naprawdę?

— Tak, mój drogi, tak... Pogadajmy jednak trochę o tobie... Co się z tobą dzieje?

— Nic! Widzisz dobrze sam.

— Jesteś bagotierem... Winszuję ci... — mówił Panajon.

— Cóż chcesz! Nieraz trzeba czekać do północy, do pierwszej godziny, albo i dłużej, zanim powiedzie się jaka drobnostka... Nędzny los! — żalił się Petard.

— I mało zyskowny — roześmiał się Panajon— zwłaszcza, gdy działa kto tak naiwnie, jak ty... Nie potrafisz jeszcze nic innego, jak napadać na rogu ulicy?

Niestety!

— Dzikus jesteś! Mało dystyngowany!

— Od dłuższego też już czasu nie obrobiłem nikogo... Wolę teraz położyć się wcześniej, a popracować trochę popołudniu... Sprzedaję karty pocztowe... otwieram drzwiczki do powozów... noszę bagaże...

— Zadziwia mnie właśnie to ostatnie zajęcie... Znając twe lenistwo, nie przypuszczałem, że możesz wziąć się do tego...

— Kilka dziesiątków kilo, to dla mnie taki drobiazg.. A zresztą ja wybieram dla siebie dorożki, a pozostawiam innym te, które za prędko jadą, albo za wiele mają bagażów.

Panajon rozmyślał.

— Wiesz, przychodzi mi myśl... — rzekł. — Słuchaj... Koniec końców jesteś w nędzy...

— W najgłębszej!

— To mi przykro... Naprawdę... Gdy przed trzema laty uciekaliśmy razem z więzienia w Marsylii, gdzieśmy się poznali, wróciłeś się z powrotem, choć byłeś już bezpieczny, by wyrwać mnie z rąk patrolu nocnego, który mnie schwytał... Takich usług nie zapomina się nigdy... Oprócz tego byłoby mi bardzo na rękę, gdybym miał przy sobie pewnego, oddanego sobie przyjaciela o wielkiej sile i ślepem posłuszeństwie... Chcesz być jednem słowem moim służącym?

— Ma się rozumieć! — zawołał w uniesieniu radości bagotier.

— Prawie nic do roboty, a dosyć do jedzenia i picia...

— Doskonale! To właśnie podoba mi się najwięcej! Po łóżku najbardziej lubię stół! Ach! Panajon!

Herkules tarł z zachwytu kułakami swe wielkie jak kalafiory oczy.

— Nie będzie ci przykrem mówić do mnie nie w drugiej osobie, zwłaszcza gdy nie będziemy sami?

— Jeżeli zechcesz, mogę ci mówić i w dziesiątej osobie.

— Bardzo dobrze! Sprawimy ci dzisiaj błyszczącą liberyę i wieczorem zajmiesz miejsce koło szofera na samochodzie, którym udam się na ulicę Ampere...

— Co ty tam będziesz robił?

— Będę odbywał swój pierwszy występ w wielkim świecie.

VII.

Była dziesiąta godzina wieczorem. Pani de Lagunan i Kamilla oglądały, czy wszystko już przygotowane jest do małego przyjęcia, na jakie Maksym Duret zapraszał rano Juliana Maixenta. Baron wyszedł ze swego pokoju, w którym się ubierał i przeszedł do salonu.

— Ach! ach! — zawołał, mijając sąsiedni pokój — mój gabinet do pracy zamieniłyście na salon gry.

Ostatnie słowa wypowiedział bardzo poważnym tonem, nie spostrzegając nawet, jak niezmiernie śmiesznie brzmiały one w jego ustach.

Dobrze zbudowany, nerwowy, o czerwonej twarzy, opalonej na powietrzu, podczas zajmowania się różnymi sportami, o jasnym, kręconym wąsie, z monoklem w oku, Raul de Lagunan był pięknym mężczyzną. Inteligencya jednak jego nie bardzo była rozwinięta. Nigdy nie zaglądał do żadnej książki. Pisywał tylko depesze pneumatyczne stylem telegraficznym i w sposób umyślnie nieczytelny, gdy, co mu się dość często trafiało, nie był pewny ortografii jakiegoś słowa.

Rozległ się dzwonek przy drzwiach od ulicy. Był to Maurycy de Terrade. Główny inżynier fabryki Cartelegne'a nigdy nie spóźniał się z przybyciem do państwa de Lagunan. Kochał Kamillę. Uczucie to datowało się więcej niż od roku, lecz nikt się go nie domyślał. Nie tylko ustawiczne zajmowanie się zagadnieniami z mechaniki, nadawały młodemu uczonemu tak skupiony wyraz twarzy, nie tylko długie czuwania w gabinecie nad pracą, zaczerwieniały mu oczy. Przyczyną tego były także często łzy i miłość.

Biedny inżynier sądził, że panna de Lagunan zakochana jest w Piotrze, który przedstawiał zresztą dla niej doskonałą partyę. Okazywał też dla młodej panny, najzupełniejszą, choć w gruncie rzeczy tylko pozorną, obojętność. A ponieważ nie wiedziano także, by utrzymywał jakie stosunki z wesołemi kobietami, lub robił jakie małżeńskie projekty, uchodził więc za zupełnie nieczułego.

— Serce jego nigdy żywiej nie bije... — mawiano o nim. — Żyje tylko umysłem... Poza wspaniałymi motorami, które wynalazł i które ulepsza bez przerwy, nic na świecie dla niego nie istnieje...

Maurycy po wejściu poszedł powitać panią de Lagunan i jej córkę. W tej chwili jednak zaczął rozmawiać z nim baron, który pragnął dowiedzieć się szczegółów o samochodzie, jaki inżynier budował na wielkie wyścigi. Stojąc przed baronem, musiał być zwrócony plecami do pań. Rozmawiając jednak, słuchał, co mówią za nim i gdy się Kamilla odzywała, wstrząsało nim jakieś bolesne a zarazem i rozkoszne drżenie.

Dzwonek zabrzmiał znowu. Przyjechał Piotr Cartelegue. Pani de Lagunan, która poznawała po sposobie dzwonienia, króla stu dwudziestu koni, wyszła na jego spotkanie i zatrzymała go w westibulu.

Teraz dopiero po raz pierwszy miała się spotkać baronowa ze swym przyszłym zięciem, od chwili tej dramatycznej sceny, towarzyszącej czytaniu listów Karola Turnera. Z powagą i godnością podała mu na powitanie rękę. Z początku zrobił bezwiedny ruch w tył, zaraz jednak naprawił swój błąd. Baronowa przeciągnęła uścisk dłoni i rzekła przejętym głosem:

— Nie będę ci robiła żadnych wyrzutów, mój drogi Piotrze... Sam zapewne domyślasz się, iż nie z wielkiem zadowoleniem dowiedziałam się o tem, iż kochasz nauczycielkę swej narzeczonej... Nikt jednak nie jest panem swego serca... Główną jednak rzeczą, która winna mnie w obecnej chwili zajmować, jest przypuszczalna niewinność panny Dubois.. Myśl, że mogliśmy popełnić niesprawiedliwość, jest dla mnie nie do zniesienia... Pozostawmy więc na później, ty swoje obawy, ja moje niezadowolenie i szukajmy razem prawdy!

— Dziękuję pani! — rzekł z wysiłkiem młody człowiek.

Przyrzekł Lewisowi Jacksonowi, że będzie nad sobą panował. Dotrzymywał też słowa. Musiał jednak przeprowadzać z sobą straszną walkę. Napadało go jakieś szalone pragnienie, by schwycić Lucyę za ręce i krzyknąć jej prosto w oczy: „Czy to pani pisałaś listy podpisywane nazwiskiem Karola Turnera?“

Tę wewnętrzną jego walkę można było odgadnąć po lekkim pocie na czole i niepewnem spojrzeniu.

Baronowa mówiła dalej:

— Państwo Cartelegue wyjechali przedwczoraj do Włoch... Czy zawiadomiłeś ich o swoim powrocie?

— Tak, proszę pani, dzisiaj rano. Nie podałem jednak powodów tego powrotu...

— Kamilla nie wie zupełnie, dlaczego odprawiłam jej nauczycielkę... Absolutnie niczego się nie domyśla... Możesz więc z nią być tak, jak przedtem... Jeżeli stwierdzimy, że panna Dubois stała się ofiarą intrygi i była godną ciebie, sama wyznam całą prawdę memu biednemu dziecku i powiem mu, by starało się zapomnieć o tobie... Lecz jeżeli myśmy się nie omylili, jeżeli ta młoda dziewczyna nie zasługuje na nic innego, jak tylko na twą wzgardę, wtedy, mój drogi Piotrze, wrócisz do swej przyjaciółki młodości, której uczucie będzie dla ciebie pociechą...

Jakiś powóz zatrzymał się przed pałacykiem i znowu rozległ się dźwięk dzwonka.

— Tymczasem — zakończyła baronowa — muszę zająć swe miejsce pani domu.

Młody człowiek wszedł za nią do salonu. Tuż prawie za nimi ukazał się wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna, o wygolonej twarzy i ostrym wyrazie oczu. Ubranie jego ohydnie skrojone, zrobione było z grubego, ordynarnego materjału, kołnierzyk, źle przypięty do koszuli, za duży był na jego szyję, krawat jego był w jakieś żółte kropki, grube trzewiki świeciły się od czernidła, białe zaś rękawiczki zdradzały tandetną robotę.

Baronowa przedstawiła go mężowi i córce:

— Pan Julian Maixent, kuzyn naszego przyjaciela, pana Wiktora Cartelegue'a... Pan przebył dwadzieścia lat w Stanach Zjednoczonych!

Piotr uścisnął rękę wuja i dalej prowadził zaczętą rozmowę z Kamillą.

— Lecz co się rzeczywiście stało? — pytała półgłosem. — Wtedy rano, zanim ja wstałam, Ludwika już odeszła... Mama nie chciała mi podać powodów tego niespodziewanego jej odjazdu... Następnego dnia ty znowu zniknąłeś, odjeżdżając do Ameryki bez pożegnania się nawet ze mną... Nikt nie odpowiadał mi na me pytania... Od dwóch tygodni żyję w ciągłym niepokoju...

Zamilkła. Czekała, by Piotr wytłómaczył jej te tajemnice.

— Powiem ci tyle tylko — odrzekł z wahaniem młody człowiek — że pani de Lagunan znalazła pakiet listów miłosnych, adresowanych poste-restante do Ludwiki...

— Och! nieroztropna! Korespondencya sekretna!.. Rozumiem teraz, że mama po znalezieniu jej...

— Listy te nie pochodziły ode mnie! — przerwał młody człowiek.

— Jakto?... Nie od ciebie?... Od kogo?...

— Mniejsza z tem!... Chodzi o to, że nie tylko twa matka okazała oburzenie... Ja uczyniłem to samo...

Kamilla pobladła i słuchała ze zdumieniem. Piotr ciągnął dalej:

— Sprawiło mi to taki ból, iż wyjechałem bez zamiaru powrotu. Wróciłem jednak... gdyż...

Młody człowiek zawahał się znowu.

— Gdyż — mówił dalej niepewnym głosem — niektóre szczegóły podały mi myśl, że...

Przerwał na chwilę, potem dokończył:

— Wytłómaczę ci to później... Proszę cię jednak bardzo, na razie nie pytaj się mnie o nic...

Piotrowi przykro było nadzwyczaj tłómaczyć wszystko, kochał bowiem swą przyjaciółkę z dziecięcych lat.

— I pomyśleć tylko — rozważał — że jej matka i jej wuj są prawdopodobnie sprawcami tak ohydnej moralnej zbrodni, o której sama myśl jużby ją przeraziła!... Biedne, biedne dziecko!...

Z drugiego rogu salonu przyglądał się im Maurycy. Nie widząc ich twarzy, zwróconych w przeciwną stronę, wyobrażał sobie, że oboje się uśmiechają.

— Są szczęśliwi... — mówił do siebie. — Tem lepiej... Piotr jest najbliższym mym przyjacielem... Ona... chodzi mi przedewszystkiem o jej szczęście... Muszę więc i ja czuć się szczęśliwym i uśmiechać się, jak oni...

Opanował go jednak bezmierny smutek.

— Ach! Oto i prezes! — rzekł ktoś.

Wchodził Maksym Duret.

Filantrop ściskał wyciągające się ku niemu ręce i zapytał:

— Pana Turnera jeszcze niema?

— Nie — odpowiedziała baronowa.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Zagadki do nagrody.

Łamigłówka.

Ułożyła M. Sulima, Skawina.

Podane wyrazy uzupełnić w ten sposób, aby głoski, wstawione w miejsce kresek, utworzyły imię i nazwisko współczesnej poetki.

— ur
łz —
— az
kr —
— le
ja —
— na
te —
— wa
le —
— ie
sp —
— el
ję —
— lt

Krzyż magiczny.

Ułożył W. Rapacz, Żarki.

Z podanych poniżej liter utworzyć trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a a a
a c c
d e f h h i i
k k l l m m n
n o o o o o o
p p r
r r r

Znaczenie wyrazów: 1. Człowiek, fizycznie słabo rozwinięty. 2. Alkaloid, służący jako lekarstwo. 3. Jeden z synów Pryama.

Szarada fantastyczna.

Ułożyła M. Sulima, Skawina.

Pierwsze i drugie, toń świetlna, przejrzysta,
Przez którą zajrzysz, aż w głąb ludzkiej duszy,
Jak błękit nieba modra bywa czysta!
Tylko się czasem coś w głębiach poruszy,
I jakby słonko zaszło poza chmury,
Taki tam nagle cień ujrzysz ponury.
Trzecie i czwarte, gdy twoje wybrane
To radbyś patrzył w nie przez całe życie
Śnisz tylko o nich, we dnie tęsknisz skrycie,
Takie ci miłe, takie ukochane!
Całość, gdy piękna, a w ziemi rodzinnej,
To już nie szukaj, ani pragnij innej,
Bo choć świat cały objedziesz dokoła,
Wspomnienie tamtej do ojczyzny woła!
Jedno tu słowo, a tyle pomieści,
Pragnień tęsknoty, szczęścia i boleści,
Z niego snuć można treść całego życia
A tak je łatwo wydobyć z ukrycia.

Arytmograf.

Ułożył Prenumerator z Bochni.

Pierwsze i szóste głoski od góry
Dadzą dwu mężów różnej natury;
Jeden poeta, drugi dygnitarz,
Jeden na świecie, drugi u Boga
A nazwisk obu wnet się doczytasz,
Bo zmarły w żywym ma dzisiaj wroga,
I choć pierwszego wielkie zasługi,
Nie chce w Krakowie widzieć go drugi.

10	9	8	7	11	15
9	11	7	6	5	11
8	4	11	3	8	4
7	6	3	8	9	2
11	1	6	8	9	12
5	11	4	13	14	1
15	16	11	3	15	11
6	17	13	11	6	9

Znaczenie wyrazów: 1. Narodowość. 2. Inaczej wysypisko piasku. 3. Inaczej mowca. 4. Wódz litewski. 5. Istoty nadziemskie. 6. Opera. 7. Mieszkanie dla więzionych z domu ptaszków. 8. Powiat lub miasto w Bessarabii.

Szarada.

Ułożyła M. Sulima, Skawina.

Pierwsze i trzecie, to imię kobiety
Nieco zdrobniałe, a także, niestety
To samo słowo, lecz w innem znaczeniu
Będzie nawyczką nie do uleczenia,
Całość jest trochę podobą złudzeniu
I nam, do rymu, da wyraz ....!

REBUS.



Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Bogdana Jasy — Romkiera:* **Promienna toń.** Powieść obyczajowo współczesna.







Właściciel i wydawca: Stanisław Lipiński. Za Redakcyę odpowiedzialny: Wacław Lipiński. Klisze z własnego zakładu. Drukiem D. E. Friedleina w Krakowie.